

# O księciu Gotfrydzie, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej



HALINA GÓRSKA

# O księciu Gotfrydzie, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej

DWANAŚCIE CUDOWNYCH OPOWIEŚCI PRZEZ MISTRZA JOHANNESA SARABAN-DUSA, ASTROLOGA KRÓLA JEGOMOŚCI, SPISANYCH

W wigilię Bożego Narodzenia, Roku Pańskiego (w tym miejscu rękopis jest nieczytelny), tłumy zaległy podwórzec<sup>1</sup> zamkowy. Wszystkie oczy wpatrzone były w kruźganek<sup>2</sup>, z którego herold<sup>3</sup> oznajmić miał wielką nowinę.

Wszystkie serca były zgodnie, o jedno prosząc Pana.

Nigdy chyba żaden następca nie był goręcej przez lud oczekiwany. I nie dziwota: brat królewski, książę Gerald, który w razie bezdzietności króla tron by po nim objął, znany był z charakteru okrutnego, podstępnego i gwałtownego.

Trudno było zaiste powiedzieć, czy więcej się go bano, czy też nienawidzono bardziej.

Jednak dziwny niepokój ogarniał wszystkich, albowiem Bóg zdawał się przez szczególne znaki i wypadki niezwykle zwiastować. Niesłychaną bowiem jest rzeczą, by burza w grudniu się zdarzyła, a tymczasem na dwa dni przed wilią<sup>4</sup> taka się nawałnica rozpętała, że w dzień ciemno było od chmur, w noc jasno od błyskawic, a od łoskotu grzmotów waliły się drzewa.

Dwa dni i dwie noce srożyła się owa burza, aż na trzeci, w wilię właśnie, uspokoiła się nagle. Niebo wypogodziło się, słońce świeciło, jakby to już marzec albo i kwiecień nadchodził, a powietrze było takie ciepłe i pachnące jak w maju.

Zmrok już zapadł, ale nikt z miejsca się nie ruszył, by do domu na wieczerzę<sup>5</sup> podążyć.

I oto w tej samej chwili, gdy na niebie błysnęła pierwsza gwiazda, ta co niegdyś pastuszków do Betlejem prowadziła, na kruźganku ukazało się dwóch pacholków z pochodniami, a za nimi herold królewski. Niech żyje syn i dziedzic pana naszego! — wyrwał się z tysiąca piersi gromki okrzyk, ale nagle wszyscy zamilkli, bo oto nad swymi głowami tłum ujrzał coś niezwyklego: w srebrzystym, oślepiającym blasku ukazał się w górze śnieżnobiały gołąb, a za nim czarny jastrząb.

Z błyskawiczną szybkością zatoczył gołąb krąg nad dziedzińcem i przez otwarte okno, ponad głowę herolda, do zamku wleciał, a za nim drapieźnik okrutny. Gołąb przeleciał jedną i drugą salę i ostatkiem sił do komnaty, gdzie leżała królowa, dotarłszy wprost na piersi śpiącego w kołysce małego księcia upadł.

Jastrząb przypadł do niego chcąc go porwać, ale jakby przeraziwszy się dziecka cofnął się, ze strasznym krzykiem w tył się rzucił, głową o wiszącą na ścianie lirę uderzył i martwy na ziemię upadł.

Strwożył się bardzo król, przywołać mnie kazał i w te ozwał się słowa:

— Znane ci są, mistrzu, wszystkie dziwne znaki, które przyjdzie na świat mego syna i następcy towarzyszyły. Powiedz mi więc, co by one znaczyć mogły i co syna mego w przyszłości oczekuje?

Narodziny, Dziecko

Ptak

<sup>1</sup>podwórzec a. podwórzec (daw.) — podwórze, dziedziniec. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>kruźganek — korytarz biegnący wokół budynku. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>herold — tu: wysłannik królewski. [przypis autorski]

<sup>4</sup>wilia (daw.) — wigilia, przeddzień; tu: Wigilia Bożego Narodzenia. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>wieczerza — kolacja. [przypis edytorski]

— Miłościwy królu! — rzekłem. — Daj mi trzy dni czasu, iżbym mógł księgi moje i gwiazdy o pomoc prosić, a spełnię twe życzenie.

— Niech i tak będzie, choć serce moje drży z niepokoju i niecierpliwości — odparł król. — Za trzy dni nakazuję wszystkim moim rycerzom stawić się w sali tronowej.

Wysłucham w otoczeniu mych wiernych wasali<sup>6</sup> twojej odpowiedzi. Bacz jednak, byś tylko to, co w księgach i gwiazdach wyczytasz, mówił, nic dla uspokojenia mnie lub pochlebiania mi nie dodając.

Kiedy po trzech dniach wezwano mnie przed oblicze królewskie, zastałem miłościwego pana w otoczeniu wszystkich wasali. Po prawej zaś jego stronie stał książę Gerald, chmurny i posepny jak zwykle, z ręką wspartą na rękojeści miecza, a na ławach purpurą okrytych, pod ścianami stojących, siedzieli dostojni grafowie<sup>7</sup> i baronowie.

Skłoniłem się głęboko królowi i w te ozwałem się słowa:

— Królu mój i wy, szlachetni mężowie! Oto jest przepowiednia, którą w gwiazdach i księgach tajemnych wczytałem: Książę Gotfryd Zwycięzca (tak go bowiem wszyscy zwać będą) urodzony jest pod cudownym i tajemniczym znakiem Gwiazdy Wigilijnej. Zostanie on największym rycerzem i pieśniarzem, jaki istniał i istnieć będzie w chrześcijaństwie całym, a w noc Bożego Narodzenia siłą nadludzką i przez żadne potęgi niezwyciężoną obdarzony będzie. Przeznaczone jest mu życie niebezpieczeństw i chwały pełne.

Dziecięciem małym jeszcze będąc, w zawierusze wojennej rodziców utraci.

Z więzienia, w którym krewny i opiekun go zamknął, przez ptaki oswobodzony, na skrzydłach ich przeleci morze.

W obcym dalekim kraju, nie w jedwabiach i aksamitach, lecz w płótnie zgrzebnym<sup>8</sup>, za owcami chodzić będzie.

Zwabiony przez elfy<sup>9</sup>, niebezpieczeństwa wielkiego dzięki cudownej mocy swych pieśni uniknie.

Górali i pastuszków od okrutnego wilkołaka i wiedźm uwolni.

Córkę wielkiego króla uzdrowi i na dworze jego paziem<sup>10</sup> zostanie.

Ostrogi rycerskie otrzyma<sup>11</sup>, zwycięzcę stu turniejów pokonawszy.

Miecza nie dobywając zamek warowny, na który sam król z całą drużyną porwać się nie ważył, zdobędzie.

Księżniczka mórz podaruje mu pierścień czarodziejski, władzę nad morzem dający.

Wróżka Wiwiana obdarzy go ametystem, moc cudowną i tajemniczą mającym.

Do kraju powróciwszy, tyrana, co tronem jego podstępnie zawładnął, wypędzi i długo i szczęśliwie panować będzie.

Najpiękniejszą na ziemi królowną z niewoli mocarza, co jednym uderzeniem obala skały, oswobodzi.

Oto opowiedziałem już wszystko, co wczytałem w gwiazdach i księgach, nic dla uspokojenia serca twego, królu, ani dla pochlebiania ci nie dodając.

Zapałił się wielkim gniewem książę Gerald i parę kroków ku mnie postąpiwszy groźnie przemówił:

— Chytry starcze! Cóżem ci uczynił, że serce brata mego chcesz ode mnie odwrócić? Zaprawdę, gdyby nie wzgląd na majestat królewski, dobyłbym miecza i na miejscu jak psa bym cię ubił! Wszystkim jest przecie wiadomo, że nie ma król innych prócz mnie krewnych, więc o mnie to, nikczemniku, mówisz, że bratanka mojego ukochanego będę więzić? Ty oszuście kłamliwy!

— Astrologiem jestem — odparłem — obowiązkiem jest moim to, co w gwiazdach wyczytam, głosić, nic nie dodając ani też ujmując. Zamilknij tedy<sup>12</sup>, książę, bo wielce obelżywe są twe słowa!

Zmarszczył brwi król i rzekł:

<sup>6</sup>wasal — lennik, poddany, który w zamian za otrzymane dobra zobowiązany był służyć władcy. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>graf (daw.) — hrabia. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>zgrzebny — utkany z grubej przędzy konopnej albo lnianej; prosty, skromny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>elf — mały baśniowy duszek leśny, mieszkający w kielichach kwiatów. [przypis autorski]

<sup>10</sup>paż — chłopiec ze szlacheckiego rodu służący na dworze. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>otrzymać ostrogi rycerskie — zostać pasowanym na rycerza. [przypis autorski]

<sup>12</sup>tedy (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

— Za niedołęznego mnie widać starca albo za dziecko nierozsądne ty i Gerald poczytujecie! Za dziecko, które bajce każdej uwierzy, choćby mu o morza na skrzydłach przelatywaniu, o mocarzu, co skały obala, lub o rycerzu, co bez miecza nieprzyjaciół poskramia, opowiadać. Gdyby nie twoje siwe włosy, nie uszłyby ci płazem te kłamliwe wymysły, w których w dodatku czci mego brata śmiesz uwłaczać!

— Czy do mnie tak mówisz, królu? — zapytałem. — Do mnie, któregoś przyjaciela swoim nazywał? Odkądże to, królu, za kłamcę mnie uważasz? Prawda, że wróżby moje dziwnie brzmiały, ale nie ma nic tak dziwnego, królu, co by się na świecie zdarzyć nie mogło. Skądże to wiedzieć możesz, że syn twój na skrzydłach nie przeleci morza lub nie pokona pieśnią nieprzyjaciół, jeśli się tak Panu Bogu będzie podobało? Skądże to wiedzieć możesz, że nie ma mocarza, co jednym uderzeniem rozbijałby skały? Czy zwiedziłeś wszystkie kraje i morza, i przepaści, i góry? Czy wszedł w głąb ziemi i oglądałeś sfery nadpowietrzne? A gdybyś to nawet uczynił i takiego męża nie znalazł, to czy nie może on zjawić się na świecie w każdej chwili, jeśli się tak Panu Niebios będzie podobało?

Ale król słuchać mnie wcale nie chciał i skinieniem ręki odprawił. Odszedłem tedy ze smutkiem w sercu. Od tej pory utraciłem zaufanie pana mojego, ale przyszłość, jak to się w tej księdze pokaże, ziszcila wszystkie moje przepowiednie.

Nie po to jednak ją napisałem, by mądrość własną chwalić, ale po to, by sławę nauki, której służę, utrwalić. Zastrzegam się jeszcze, że nie cały żywot księcia Gotfryda, rycerza przesławnego, opowiadam, bo musiałbym chyba nie dwanaście opowieści, ale ksiąg dwanaście o czynach jego znakomitych napisać, jeno<sup>13</sup> tę część jego, która się przepowiedni moich tyczy.

## DZIECIĘCIEM MAŁYM JESZCZE BĘDĄC W ZAWIERUSZE WOJENNEJ RODZICÓW UTRACI...

### *O księciu Gotfrydzie opowieść pierwsza*

Nie mógł się król miłościwy synaczkim swoim nacieszyć, nie mógł się mu dość napatrzeć, nie wiedział sam, jak ma Bogu za dziecko to cudowne dziękować.

Piękny bowiem był mały książę Gotfryd! Kiedy czasem na skrzydeczkach swych grając oczy szafirowe w niebo wznosił, a włosy mu się w ciemnych pierścieniach na ramiona rozsypały, to zdało się każdemu, że to aniołek z chóru niebieskiego.

A grał książę Gotfryd na swych skrzydeczkach maleńkich, darze jednego z królewskich wasali, nad podziw pięknie, choć mu się siódma jeszcze nie zaczęła wiosna.

Ale dał Bóg Gotfrydowi nie tylko oczy błękitne i świetliste, lecz i duszę błękitną i świetlistą.

Nie przeszedł nigdy obojętnie książę Gotfryd obok czyichś lez i czyjegoś cierpienia, a choć tak mały jeszcze, każdego umiał pocieszyć i rozweselić, każdemu pomóc. Ale nie tylko ludzi miłowało owe dziwne chłopię, lecz także zwierzęta i rośliny, i wszystkie żywe stworzenia. I nikt nie śmiał w jego obecności krzywdy najmniejszemu zwierzątku uczynić, a najpłochliwsze ptaki i zwierzątka czuły widać, że mają w nim przyjaciela i opiekuna, bo nie lękały się go wcale i nie uciekały przed nim.

A odwagę i siłę miał taką, że gdy raz byczek jakiś młody, nie wiadomo skąd się wyrwawszy, wprost na niego z pochylonymi rogami wpadł, Gotfryd, miast do ucieczki się rzucić, za rogi go pochwycił i przytrzymał, dopóki nie nadbiegli pacholkiwie...

Miłowali też wszyscy rycerzka owego, a psuli, a pieścili!

Królowa go piosenkami do snu kołysała i piosenkami ze snu budziła.

Król, na kolanach go trzymając, o rodzie jego sławnym i rycerzach dzielnych opowiadał.

Kasztelan<sup>14</sup> zamkowy miecze mu i luki z drewna strugał i na konia sadzając dosiadać i jeździć na nim uczył.

<sup>13</sup>jeno (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>kasztelan — w dawnej Polsce urzędnik zarządzający zamkiem albo miastem i jego okręgiem, także urzędnik ziemski zasiadający w radzie królewskiej lub w senacie. [przypis edytorski]

Panny służebne w jedwabie go i aksamity stroiły, włosy mu trefiąc<sup>15</sup> i w pierścieniu zwijając.

Stara piastunka baśnie mu czarodziejskie bajala i przysmakami karmiła.

A już co do dworzan, to ci się w usługach i zabawach dla małego pana prześcigali; jedni dlatego, że go szczerze kochali, inni, by się królowi i królowej przypodobać.

Ale zdarzyło się razu pewnego, że nieprzyjaciel wielki na kraj napadł.

Pożegnał się tedy król z żoną i synkiem i z drużyną swą rycerską bronić granic państwa pojechał. W niepokoju wielkim i we łzach czekała królowa na wieści od męża. Minął dzień jeden i drugi, a żaden goniec z pola bitwy nie nadjeżdżał. Aż na trzeci dzień róg się pod murami zamku odezwał. Spuszczają pospiesznie strażnicy most zwodzony, wjeżdża na dziedziniec rycerz we krwi całej i kurzu. Wybiegła przeciw niemu królowa, wybiegł dwór cały, a rycerz z konia zeskoczywszy ozwie się wesoło:

— Raduj się, najjaśniejsza pani! Wojska nasze nieprzyjaciół rozbiły i król z rycerzami uchodzących ściga. Przygotujcie się na jego przyjęcie, bo tylko go w zamku patrzeć!

Ucieszyła się królowa, ucieszyli się dworzanie, ucieszył się lud cały i, w piękne szaty się przystroiwszy, z zielenią, kwiatami i śpiewem witać zwycięzcę wyszli.

Jakoż niedługo czekali.

Zatętniły kopyta, zabrzęczały zbroje i nadjechali królewscy rycerze.

Jeno nie dęli w rogi i pieśni nie śpiewali, jako zwycięzcom przystoi — w ciszy i w smutku wielkim.

Jeno nie jechał na ich czele król ich mężny, miłościwy i szlachetny — na płaszczach ciała jego czterech grafów z odkrytymi głowami niosło. Bowiem gdy wrogów rozbiwszy do zamku powracał, żołdak<sup>16</sup> jakiś nieprzyjacielski, za drzewami się przyczaiwszy, oszczepem w niego rzucił.

Oj, jakżeś ty, płatnerzu<sup>17</sup> królewski, tę zbroję złotą kuł, że ją na wylot oszczep zdradziecki przebił i w sercu wroga utkwil!

Pobladła królowa jak lilia, za serce się chwyciła i martwa na ręce panien służebnych upadła.

Oj, jakżeś ty, płatnerzu królewski, tę zbroję złotą kuł!

Zwołał tedy brat króla wasali co najznakomitszych na naradę i tak do nich przemówił:

— Otośmy stracili króla, brata mego umiłowanego, a wraz z nim i królowę. Osierocony został nasz tron. Co więc mi począć, szlachetni panowie, radzicie?

Tak prawił, a w sercu nadzieję miał, że go wasale na tron zaproszą.

Milczeli grafowie i baronowie, na Rolanda, „Prawym” zwanego, spoglądając, bo szanowali go wielce dla męstwa i rozumu wielkiego, i włosów siwych i zawsze mu w radzie głos pierwszy dawali.

Podniósł się Roland Prawy i odparł bratu królewskiemu:

— Nie przypadła mi do serca twa mowa, książę Geraldzie. Mówisz, że tron osierocony został, i o radę, co z nim czynić, pytasz. A nie zostawił to nam król księcia Gotfryda, syna swego i prawego następcy?

Tak rzekł, a przytaknęli mu wszyscy rycerze.

Nie w smak poszło to księciu Geraldowi, ale złość wielką uśmiechem słodkim pokrywszy rzekł:

— Nie zrozumiałeś mnie, Rolandzie, ani wy, szlachetni rycerze. Wiem ja ci dobrze i nie przeczę temu, że Gotfryd prawym jest tronu następcą. Ale bratanek mój dzieckiem jest jeszcze i trzeba mu dać opiekuna, który by, nim mały książę do lat męskich dojdzie, państwem zarządzał, a jego na dzielnego rycerza wychowywał.

Podniósł się baron Iwon, księcia Geralda przyjaciel i powiernik, i drużyny jego dowódca.

— Któż to, jeśli nie ty, książę, opiekunem Gotfryda być może? Stryjem mu przecież jesteś i mężem tronu najbliższym!

Tak przemówił, a chcąc nie chcąc zgodzić się z nim musiał Roland i inni rycerze, bo prawdą to było, że nikt od brata królewskiego praw większych nie miał do rządów sprawowania.

<sup>15</sup>trefić (daw.) — układać włosy w loki. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>żoldak (daw.) — żołnierz najemny. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>płatnerz — rzemieślnik trudniący się wyrobem zbroi. [przypis autorski]

Został więc Gerald bratanka swego opiekunem i państwa wielkorządcą, ale w duszy korony królewskiej pragnął i jeno nad tym przemyślał, jak by się małego księcia pozbyć.

Zdrada

Rzekł tedy raz do niego Iwon:

— Nie może być inaczej, tylko zrób, jak ci radzę: Stoi nad morzem, pośród urwisk dzikich, wieża wysoka, co niegdyś strażnicą była. Poślij tam Gotfryda z żołnierzem jakim zaufanym i każ go w niej uwięzić, a panom powiedz, żeś go do zamku nad morze wysłał, bo chorowity jest bardzo, a morskie powietrze moc i zdrowie przywraca. Nie wytrzyma wątpy dzieciak więziennych niewygód, tęsknoty i samotności i zemrze niedługo, a ty wtedy, żal wielki udając, z honorami królewskimi go pochowasz, a sam koronę otrzymasz, bo się tobie tylko będzie wtedy należała.

Tak mówił ten zbrodniarz niegodziwy, a rad go słuchał książę Gerald, bo był zaprawdę pan godny sługi.

## PRZEZ PTAKI Z WIEZIENIA OSWOBODZONY, NA SKRZYDŁACH ICH PRZELĘCI MORZE...

### *O księciu Gotfrydzie opowieść druga*

Smutna to była wieża, w której Gotfryda zamknięto. Za nią i wokoło niej urwiska się skalne piętrzyły, a przed nią morze zielone i gniewne szumiało, falami raz w raz z wściekłością o skały uderzając i białą bryzgając pianą.

Więzien

Ani drzewka, nawet najnędnniejszego, ani kwiatu, ani trawki nigdzie z niej widać nie było. Zwali ludzie te skały przeklętymi, bo nawet mech rósł na nich nie chciał. Nie przechodził też tędy wieśniak, dzieci nie przybiegały na brzegu się bawić i muszli szukać, rybak nie zarzucał tu swych sieci i nawet mewy unikały tego miejsca.

Nagich ścian izdebki<sup>18</sup> Gotfryda nie pokryto kobiercem<sup>19</sup>.

Trochę mu tylko słomy zgniłej na posłanie rzucono. Małe okienko niewiele przepuszczało światła, choć kratą go nie opatrzone, bo chyba ptak mógłby uciec z takiej wysokości.

Siadał w nim nieraz Gotfryd i w dal patrząc czekał, czy nie ujrzy przechodnia jakiego lub łodzi rybackiej.

Ale darmo<sup>20</sup>. Pusto było wokół i głucho. Tylko wichur wył przeciągle i fale rozbijały się o skaliste brzegi.

Dwa razy jednak do roku miał książę Gotfryd gości:

Późną jesienią przelatywały koło jego wieży ptaki za morze lecące, a wiosną wracały znowu do rodzinnego kraju.

Ptak

— Dzień dobry, bociany! — wołał mały książę rozwierając okno. — Dokąd to lecicie?

— Do Egiptu, do Egiptu, gdzie płynie błękitny Nil i wznoszą się wysokie piramidy — odpowiadały bociany, ale chłopiec nie rozumiał ich mowy.

— Pozdrawiam was, jaskółki! — wołał do przelatujących jaskółek.

— I my cię pozdrawiamy, malutki! — odpowiadały jaskółki, ale mały książę nie wiedział o tym.

— Czy to wy, skowronki? Czy to wy, słowiki? Prędko wróćcie?

— Na wiosnę! Na wiosnę. Gdy zazielenią się drzewa i zakwitną sasanki! — odpowiadały mu skowronki i słowiki.

— Jaki śliczny jest wasz świergot — wołał Gotfryd nie domyślając się nawet, że ptaki z nim rozmawiają.

Ostatnie leciały zawsze żurawie jęcząc i zawodząc, a jęk ich przejmował serce Gotfryda smutkiem i tęsknotą, bo wiedział, że teraz pozostanie sam na długie, długie miesiące.

Razu pewnego jednak, a wydarzyło się to jesienią, gdy ptaki za morze leciały, chłopak jakiś niedobry do jednej z jaskółek z procy wycelowawszy w skrzydło ją postrzelił.

Wyteżała biedaczka wszystkie siły, żeby mimo bólu towarzyszkom w locie sprostać i po drodze gdzieś zostawszy w śniegu nie zamarznąć, ale na próżno. Właśnie wtedy, gdy koło wieży przelatywała, siły opuściły ją zupełnie i piszcząc żałośnie na okno upadła.

<sup>18</sup>izdebka (daw.) — małe, ubogie pomieszczenie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>kobierzec — zdobiony dywan. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>darmo — tu: na próżno. [przypis edytorski]

Obejrzał księżę jej skrzydełko, ostrożnie z niego kamień ostry wyjął i płatkami od koszułi oderwanym, a w wodzie zmoczonym, przewiązał. Potem delikatnie ptaszka na słomie ułożył i sam przy nim usiadł, słowami pieszczotliwymi go pocieszając.

Przez trzy tygodnie pielęgnował Gotfryd jaskółkę, chlebem ją pokruszonym i wodą karmiąc, a trzeciego tygodnia skrzydełko zagoiło się. Niepodobna było jednak ptaszka wypuszczać, bo zima była już na dworze i zamarzłby niechybnie. Miał więc teraz księżę towarzyszkę, a choć niewielka była wzrostem, ale za to tak świergotliwa, wesoła i ruchliwa, że odpędzała precz od niego wszystkie smutki.

Z ręki mu się ptaszek ów jeść wkrótce nauczył, a na piersiach zasypiać. Bawił się z nim księżę w gonitwy i chowanek<sup>21</sup>. Jeno gdy księżę ją gonił, nigdy złapać jej nie mógł, bo zaraz na kamień, co pod sklepieniem samym sterczał, wlatywała i stamtąd na niego filuternie spoglądała, jedno oko drwiąco przymrużywszy. Gdy zaś ptaszek jego gonił, wnet go łapał, dzióbkiem za włosy chwytając.

Nie lepiej wiodło się Gotfrydowi i z chowanek: łatwo bowiem się było schować jaskółce w kącie ciemnym czy w jaką szparę w murze, ale trudniej było to Gotfrydowi uczynić, bo niczego, krom<sup>22</sup> ścian nagich, w celi jego więziennej nie było. Spróbował co prawda raz, w słomę się zakopawszy, ukryć, ale nie było jej tyle, by go dobrze okryła, toteż ręka mu jedna spod niej wyszła. Zobaczyła to zaraz jaskółeczka i głośno świergotąc słomę po ździebelku odrzucać poczęła — taka ci to sprytna była bestyjka!

Czasem jej znowu Gotfryd na skrzypkach grywał. I co powiecie? Gdy wesołe piosenki grał, jaskółka kregi taneczne w powietrzu zataczała, a gdy w smutnych na los się swój skarżył, na ramieniu mu siadała i lepek to na prawo, to na lewo przechylając, w oczy mu zaglądała i skrzydełkiem po twarzy gładziła, jakby chciała powiedzieć:

— Nie martw się, jestem przy tobie i kocham cię bardzo...

Tak minęła zima. Zza morza powracać zaczęły ptaki, koło wieży księcia Gotfryda długimi sznurami ze świergotem rozgłośnym a radosnym ciągnąc.

Posmutniała czegoś jaskółeczka.

Nie chciała już więcej się z księciem bawić, przestała go szczebiotem ze snu budzić, po całych dniach nie tykała jada i siedziała nieruchomo z nastroszonymi piórkami na oknie.

Posmutniał i księżę Gotfryd, bo dobrze rozumiał, czego chce jaskółka. Wiosna już była i gdzieś daleko od skał przeklętych zieleniły się łąki i gaje i zakwitły krokusy...

Czyż miał ją jednak wypuścić? Przecież oprócz niej nie miał nikogo na świecie...

Czyż miał ją jednak wypuścić? Przecież zostałby znowu tak samotny i opuszczony jak przedtem...

Ale — czyż mógł ją więzić? Czyż mógł ją pozbawić pól, łąk i lasów, i słońca, i towarzyszy skrzydlatych, i tego wszystkiego, czego on sam nie zobaczy już nigdy?

I oto pewnego razu ucałowawszy ptaszka okno mu księżę Gotfryd otworzył. Rozpostarła szeroko skrzydła jaskółka i z wesołym świergotem w niebo uleciała. Patrzył za nią mały księżę, póki mu z oczu nie znikła.

Był znowu sam. Zupełnie sam. Jedyna jego przyjaciółka opuściła go i zapomniała o nim.

A kiedy jesienią do ciepłych krajów koło wieży jego przelatywać będzie, to już nie pozna go pewnie nawet — tak myślał Gotfryd i taka go żalność opanowała, że twarzą na ziemię się rzuciwszy głośnym wybuchnął łkaniem.

Mylił się jednak — jaskółka nie zapomniała.

Pewnej nocy jesiennej nie mógł mały księżę długo zasnąć, bo wiatr wył i świstał na dworze i morze szumiało groźnie.

A gdy zasnął nareszcie, miał dziwny sen. Śniło mu się, że jest niby w zamku swych rodziców, a niby w więzieniu — jak to czasem we śnie bywa. Przy nim siedzi jego piastunka i opowiada mu jego ulubioną bajkę o latającym dywanie. Ale zaledwie poczyna<sup>23</sup> mówić, każde jej słowo zamienia się w ptaka i wszystkie te ptaki kładą się obok siebie z rozpostartymi skrzydłami. I nagle ptaki znikają, a skrzydła ich zlewają się we wspaniały stubarwny kobierzec!

Sen

<sup>21</sup>chowanek (daw.) — chowany, zabawa w chowanego. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>krom (daw.) — prócz, z wyjątkiem. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>poczynać (daw.) — zaczynać. [przypis edytorski]

— Połóż się na tym kobiercu — mówi piastunka — a poniesie cię on, dokąd zechcesz. Gotfryd chciał jej usłuchać, ale w tej chwili obudził się. Powstał więc z nędznego posłania, smutniejszy jeszcze niż co dzień, rozmyślając w duszy, jakby to dobrze było, gdyby mu wróżka taki dywan, na którym mógłby w dalekie kraje z wieży tej ulecieć, podarowała.

Tak dumając w oknie, jak zwykle, usiadł w dal patrząc.

Aż tu widzi — ptaków sznury całe do wieży jego z radosnym świergotem ciągną. Ale nie lecą dalej ptaki owe wieżę jego mijając, jeno pod nią się zatrzymują i w powietrzu jedne obok drugich się kładą, skrzydła szeroko rozpościerając. Patrzy książę Gotfryd — oczom wierzyć nie chce: Toć<sup>24</sup> ze skrzydeł ich kobierzec stubarwny się tworzy, czerwienią gilów, błękitem i zielenią sikorek, czernią jaskółek, żółtością wilg się mieniący, a srebrzystymi skrzydłami mew niby delikatną koronką bramowany<sup>25</sup>...

Patrzy książę Gotfryd — oczom wierzyć nie chce, a kobierzec ten tuż pod oknem jego się kołysze, jakby go do lotu zapraszał...

Nie rozmyślał już więcej Gotfryd, jeno skrzypki do piersi swej przycisnąwszy wprost na skrzydła ptaków skoczył i uleciał.

Patrzy książę Gotfryd, a tu nad nim niebo bezkresne, a pod nim przestrzeń morza niezmierna, a więzienie jego już ledwie w dali widać!

Zrozumiał tedy, iż wolny jest, i ręce przed siebie wyciągnąwszy wołać całą mocą piersi począł z radości, co mu jak wino do głowy szła i serce rozsadzała.

A gdy już ze szczęścia nieco ochłonął, na skrzydłach ptaków się położywszy, zaczął na skrzypkach swoich pieśń dziękczynną Bogu grać.

I popłynęła ta pieśń w górę, a taka była czysta, tak rozmodlona, taka srebrzysta i świetlista, że święty Piotr, furtian<sup>26</sup> niebieski, choć gwaru ziemskiego nie lubi i bramę niebios pilnie zamyka, roztworzył<sup>27</sup> ją na oścież, by mogła wzlecieć jak ptak, prosto przed tron Pana.

A święty Michał, wódz archanielskich zastępów, który w złotej zbroi straż niebieskiego kasztelu<sup>28</sup> czyni, ostrożnie miecz swój długi, o tęczowe mury z diamentu dzwoniący, w górę uniósł, by hałasu najmniejszego nie czynić.

I przestały śpiewać chóry anielskie i z zapartym tchem jej słuchały...

I święta Cecylia<sup>29</sup> jej słuchała w podziwieniu wielkim, bo i ona grać by piękniej nie umiała...

I Chrystus, co w zamyśleniu po ogrodzie rajskim wśród lilii białych chodził, zatrzymał się i swe święte, zadumane oczy na ziemię zwrócił, grajka, co tak się modlił, szukając.

A gdy spojrzenie jego na ów ptaków korowód, co Gotfryda niósł, padło, to zdziwiły się ptaki, że nie tylko ciężaru chłopca nie czują, ale i zmęczenia żadnego.

Tymczasem zapłonęła i zgasła nad morzem luna zachodu, pociemniało niebo i jedna po drugiej wschodzić zaczęły gwiazdy.

Patrzył Gotfryd w niebo tysiącem srebrnych światłał roziskrzone i zdawało mu się, że to spoglądają na niego oczy aniołów, a jeden z nich, matka jego, delikatną, przesłodką dłoń na oczach mu kładzie.

Zasnął tedy książę Gotfryd na skrzydłach ptaków, między niebem a morzem kołysany.

**W OBCYM KRAJU NIE W JEDWABIACH I AKSAMITACH,  
LECZ W PŁÓTNIE ZGRZEBNYM ZA OWCAMI CHODZIĆ  
BĘDZIE...**

*O księciu Gotfrydzie opowieść trzecia*

<sup>24</sup>toć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>bramować (daw.) — obszywać brzegi lamówką. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>furtian — tu: odźwierny. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>roztworzyć (daw.) — otworzyć. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>kasztel (daw.) — zamek warowny, twierdza. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>święta Cecylia — święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, żyjąca w III w. w Rzymie; patronka muzyków. [przypis edytorski]



Kiedy nazajutrz zbudził się Gotfryd, to złoty świt rozproszył już ciemności. Przetarł oczy, rozgląda się — nie ma ani ptaków, ani morza.

Wkoło góry błękitne o śnieżnych szczytach, a on sam w dolinie na murawie miękkiej leży. Porwał się Gotfryd, w górę spogląda, a tu jeszcze ostatnie sznury znikających ptaków widać. Mewy to były właśnie i skrzydła ich białe wschód różaną i złotą barwą malował. Pojął tedy, że ptaki go śpiącego tutaj złożyły, a same dalej poleciały. Smutno się jakoś i nieswojo Gotfryd poczuł. Dokąd iść? Dokąd wędrować? Jakże sobie dać samemu radę w szerokim obcym świecie?

Podjął Gotfryd z ziemi skrzypki, które obok niego ptaki złożyły, i uśmiechnął się smutnie.

Ot — pomyślał — jedyny przyjaciel wierny i obrona moja.

Przesunął pieszczotliwie po strunach — zapłakały skrzypki i nuż się skarżyć a jęczeć, a zawodzić...

Popłynęła piosenka rzewna, powtórzyły ją echem góry od łąki do łąki, od doliny do doliny.

Usłyszeli ją pastuszkowie, co kozy wesole i płochliwe i krowy poważne a stateczne, dzwonekami pobrzękujące, i owieczki bielutkie paśli.

Usłyszeli ją pastuszkowie i powiada jeden do drugiego:

— A cóż to za grajek taki po górach chodzi i tak gra, aż serce w piersiach płacze? Chodźmy zobaczyć i posłuchać!

I poszli w stronę, skąd dochodził głos piosenki, kijami długimi kozy wesole a płochliwe i krowy poważne a stateczne, dzwoneczkami pobrzękujące, i owieczki bielutkie przed sobą pędząc.

Obudził się z zadumy stary baca<sup>30</sup>, co może ze sto już miał lat, a był pastuszków opiekunem i naczelnikiem, gdy na lato w góry z bydłem wychodzili.

Słucha, słucha i tak go ta piosenka za serce chwyciła, że choć mało kiedy z szałas swego wychodził, za pastuszkami się powlókł.

Przyszli więc do doliny owej, skąd ich dźwięki pieśni dochodziły. Widzą — chłopię małe, jak anioł piękne, o oczach jak gwiazdy szafirowe, stoi i na skrzypkach wygrywa. Otoczyli go kołem i słuchają.

A tak ich ten smutek z piosenki wiejący rozbiera, tak im do serca idzie, że jaki taki lży rękawem koszuli ociera.

I krowy, i owce posmutniałe stoją, i kozy nawet o figlach nie myślą. A każdemu się co innego przypomina. Jednemu, że mu siostrzyczka maleńka na wiosnę umarła, innemu, że w chacie chleba nie ma, innemu jeszcze, że kozucha na zimę pewnie nie dostanie, a jeszcze innemu, że pawie pióro od czapki zgubił.

A znowu krowie się jednej przypomniało, jak to jej cielątko zabrali, a owcy, jak się w górach zabłąkała i mało jej wilk nie porwał, a kozie, jak się do ogrodu z kapustą zakradła i jak ją pastuch kijem wybił...

A stary owczarz znowu wspomniął sobie, że żonę dawno pochował, synowie w świat powędrowali, a on sam jak kołek na świecie ostał i nie będzie mu miał kto oczu zamknąć, gdy umierać przyjdzie... Wiadomo — każdy ma swoje smutki i kłopoty.

A tymczasem w sercu Gotfryda jakaś radość i nadzieja budzić się poczęły. Cóż u licha! Czy to on mazgaj jaki, żeby się świata dalekiego bał? I czegoż właściwie te skrzypce tak płaczą a zawodzą? Czyż nie powinny się raczej radować, że niebo takie jasne, łąki takie zielone, strumienie srebrzyste, a on sam wolny... hej, wolny!...

I jak nie utnie smyczkiem!

Hej, to ci muzyczka zadźwięczała! A siarczysta, a zawrotna, a weselna, a skoczna! Hej! Miły Boże!

Zapomnieli wszyscy o tym, co im dolega!

Zatupali nogami pastuszkowie i jak w taniec nie pójda!... A za nimi jak nie skoczą kozy i owce, a nawet krowy — choć powoli i z godnością...

Góry

Muzyka

Zwierzęta

<sup>30</sup>baca — starszy pasterz owiec. [przypis edytorski]

Wziął się pod boki stary owczarz — nie taki on znowu stary, jak się to wydaje — jeszcze zdrowy, jeszcze krzepki<sup>31</sup>, jeszcze lepiej niż niejeden młody poskakać może! Hu! Ha!

A skrzypki coraz to zawrotniej, weselej, siarczyściej ucinają.

Tańczą już teraz i ptaki w powietrzu, i ryby w wodzie, i obłoki na niebie, a drzewa niemal ze skóry nie wyskoczą, że to niby nóg nie mają i tańczyć nie mogą...

Krzyknął owczarz Gotfrydowi:

— Przestań, na miłość boską, chłopcze, bo jak dalej grać będziesz, to góry z posad ruszą i tańczyć pójda!

Roześmiał się Gotfryd, smyczek rzucił, a stary pastuch się tak do niego ozwie:

— Grajku miły! Należałoby cię za tę muzykę kołaczami<sup>32</sup> białymi, miodem i winem ugościć, ale cóż, kiedy ni kołaczy, ni miodu, ni wina nie mamy. Jeśli jednak chlebem czarnym, mlekiem i serem nie pogardzisz, to chodź z nami!

Poszedł Gotfryd chętnie i ochoczo, bo dopiero teraz poczuł, że głodny i spragniony jest wielce.

Usadzili go pastuszkowie pod drzewem cienistym, w kubku glinianym mleka podali i na liściu paproci poziomek, co je właśnie uzbierali, bacia zaś chleba i sera mu przyniosł.

Radzi byli pastuszkowie gościeowi swemu i ciekawi, skąd i dokąd wędruje i co zaczął jest, ale stary owczarz nie pozwolił Gotfryda o nic rozpytywać.

— Nie godzi się — rzekł — wędrownikowi się naprzykrzać, póki nie odpoczął i nie nasycił głodu i pragnienia.

Dopiero gdy Gotfryd się posilił, zagadnął go owczarz:

— Skąd jesteś, grajku miły, i dokąd idziesz?

— Z dalekiego jestem kraju, zza morza — odpowie na to młody książę — a idę, gdzie oczy poniosą.

— Grajku miły — zapyta owczarz zdziwiony — a nie idziesz do krewnych lub przyjaciół?

— Odumarli mnie — odpowie Gotfryd — rodzice, nie mam krewnych ni przyjaciół. Idę, gdzie mnie oczy poniosą!

Zamyślił się owczarz i tak się ozwał:

— Nie zostałeś to, chłopcze, z nami? Będziesz nam na skrzypkach grywał, a my się z tobą wszystkim, co sami mamy, dzielić będziemy.

A pastuszkowie nuż go prosić i zachęcać:

— Fujarki cię z wierzyby kręcić nauczymy, do boru na jagody i grzyby zabierzemy, chodaki<sup>33</sup> ci lipowe zrobimy, najpiękniejsze owce ze stada do pasienia damy!...

I został Gotfryd z nimi, a nie żałował tego.

Wesołe bowiem było życie w górach, choć często i chłodno, i głodno bywało. Nauczył się wkrótce Gotfryd po drzewach i skałach pięć, przez pniące się górskie potoki skakać, ogniska rozkładać, zaginione owce po śladach odnajdywać, o świcie się zrywać, ze wzejściem gwiazd na posłaniu z liści usypiać.

Kochali go bardzo pastuszkowie dla serca jego dobrego i piosenek przecudnych i czy to przy zabawie, czy przy posiłku zawsze mu pierwsze chcieli ustępować miejsce. Ale Gotfryd zawsze się na bok usuwał, nigdy nad innych nie wynosząc się.

Miłował go także wielce stary owczarz, ale że to nie z jednego pieca chleb jadł, więc kiedy chłopcy czasem rozpowiadali, jak to, gdy będą dorośli, wilki wytepią, by owiec nie porywały, albo jak to gospodarzami zostaną i rolę orać będą, uśmiechał się i głową trząsał. Nie mógł on zapomnieć zdarzenia jednego, które w rok potem, gdy Gotfryd w góry przywędrował, zaszło i wielkim wszystkich dziwem<sup>34</sup> nappełniło.

A było to tak: Przypędzili raz pachołkowie z pobliskiego zamku stado koni do wody. A był pomiędzy nimi rumak jeden tak piękny, że chyba jeszcze ludzkie oko drugiego takiego nie widziało. Grzywa lśniła jak srebro, a miękka jak jedwab, oczy płonące a dumne, chrapy delikatne a latające, nogi wysmukłe, no, jednym słowem — cudo! Gotfryd, gdy

Muzyka

Góry, Przyjaźń

Koń

<sup>31</sup>krzepki — mocny. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>kołacz — świąteczny placek pszenny o kształcie koła. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>chodak (daw.) — prymitywny but, przeważnie drewniany. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>dziw (daw.) — tu: zdziwienie. [przypis edytorski]

tego konia zobaczył, oczu od niego oderwać nie mógł i wraz<sup>35</sup> pacholków prosić zaczął, żeby mu się na nim przejechać pozwolili.

Roześmieli się pacholkiwie i powiadają:

— Konia tego nikt dosiąść nie może. Dwunastu rycerzy go ujeździć próbowało i każdy był zadowolony, jeśli kości całe wyniósł. Diabeł to jakiś, a nie koń. Nasz pan to go raz ze złości i desperacji wielkiej omal nie zabił. Żał mu się go tylko zrobiło, że taki ładny.

Tak prawią pacholkiwie, a Gotfryd słuchać nie słucha, tylko wciąż w konia jak w tęczę patrzy. Oczy mu jak młodemu źbikowi błyszczą, nozdrza się rozdymają, a na twarzy się to biały, to purpurowy robi. I nagle, jak nie rzuci się do konia, jak nie skoczy mu na grzbiet, nim pacholkiwie i pastuszkowie krzyknąć zdołali!

Rzucił się w tak szalony galop koń, że tylko mignął Gotfryd przed ich oczyma, gdy w błyskawicznym pędzie wokół łąki przejeżdżał. Zarył się tylnymi kopytami w ziemię i dęba stanął.

Wszyscy zamknęli oczy, bo już się im zdawało, że Gotfryd z roztrzaskaną głową na ziemi leży, ale aż oniemieli ze zdumienia, gdy po chwili ujrzeli, że chłopiec prosto i spokojnie, oklep<sup>36</sup> i bez strzemion na wściekłym koniu siedzi i ani drgnie.

Sam się rumak tym zdziwiony wydawał, bo chwilę spokojnie bez ruchu stał, a potem gniew go widać ogarnął, bo jak nie zacznie najdziksze harce wyprawiać! I w prawo, i w lewo, i naprzód, i w tył się rzuca, dęba staje, pędzi jak opętany, wprost na skały, z potępieńczym jękiem, do rżenia niepodobnym, na ziemię się rzuca, białą pianę z pyska toczy — daremnie: Gotfryd spokojny i zimny, prosty jak strzała, na jego grzbiecie siedzi i nawet się rękami grzywy nie chwyci.

Zmęczył się wreszcie koń i rwać się przestał, a wówczas Gotfryd łąkę na nim trzy razy dookoła objechał, lekko na ziemię zeskoczył i jak gdyby nigdy nic po skrzypki do szałasu poszedł, bo był już dawno nową piosenkę pacholkom obiecał.

Pokiwał głową stary owczarz i rzekł:

— Oj, niedługo będzie on tu z nami bydło pasał! Na rycerza jest wielkiego, jakiego jeszcze na świecie nie było, przeznaczony!

I lzy mu się w oczach zakręciły, bo sam nie wiedział, jak będzie bez Gotfryda i jego piosenek żyć.

A piosenki Gotfryda coraz większą sobie sławę zdobywały.

Z najdalszych wsi gospodarze słuchać przychodzili, Gotfryda do siebie na zimę, kiedy pastuszkowie w doliny wrócą, zapraszając. Przychodzili go słuchać i rycerze z okolicznych zamków i na dwory go swoje chcieli zabierać, ale Gotfryd z pastuszkami się rozstać nie chciał. Żył więc po dawnemu, latem w górach, zimą w chatach rolników.

A tak się cały lud górski w pieśniach jego rozmiłował, że się żadne wesele ani chrzciny obyć bez niego nie mogły.

## ZWABIONY PRZEZ ELFY, NIEBEZPIECZEŃSTWA WIELKIEGO DZIĘKI CUDOWNEJ MOCY SWYCH PIEŚNI UNIKNIE...

### *O księciu Gotfrydzie opowieść czwarta*

Wśród stada, które Gotfryd wraz z pastuszkami pasał, była kózka, którą sobie szczególnie upodobał i do której przywiązał się wielce. Śliczne to było zwierzątko! Sierść miała długą i białą jak mleko, oczki czarne, bystre i wesołe. Zawsze w płasach, zawsze w skokach, nieraz pastuszków figłami swymi uciesznymi rozweselała, ale i kłopotu było z nią co niemiara, bo często się od stada odłączała i trzeba jej było długo po skałach i zaroślach szukać. Aż razu pewnego jak znikła, tak i ślad za nią przepadł. Szukali jej pastuszkowie dzień, szukali drugi i trzeci, aż wreszcie przestali.

— Widać — powiadają — wilcy ją zjedli, daremny trud i zachody.

Zwierzęta

<sup>35</sup>wraz (daw.) — tu: zaraz, natychmiast. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>oklep a. na oklep — bez siodła. [przypis edytorski]

Ale raz nocy jednej, bardzo jasnej i miesięcznej<sup>37</sup>, jak to często w lipcu bywa, budzi się Gotfryd, który między innymi pastuszkami przy ognisku spał, i słyszy coś niby daleki dźwięk dzwoneczka. Uniósł się na rękach. Słucha... Ani chybi — to kózka musi być w pobliżu! Jej to dzwoneczek, od wszystkich w stadzie inny, co go jej bacia na jarmarku zeszłego tygodnia kupił, wyraźnie gdzieś niedaleko słyhać!

Zerwał się więc i nikogo nie budząc, w stronę, skąd go ów dźwięk dochodził, pobiegł.

Ale choć mu się przed chwilą zdawało, że nie dalej jak o kilkanaście kroków go słyszy, to teraz, gdy polaną, gdzie spali towarzysze, minął, w zarośla się zagłębiając, zmiarkował<sup>38</sup>, że dzwoneczek ów gdzieś aż w głębi lasu dźwięczy. Pobiegł tedy za jego głosem, ale i kózka widać głębiej w zarośla się zaszyła, bo coraz dalej go słyhać.

— Wesola! Wesola! — jął<sup>39</sup> ją tedy nawoływać, bo zwierzątko było nad podziw łaskawe i zwykle zaraz do niego przybiegało.

Ale — gdzie tam! Dzwoneczek wciąż dalej i dalej się odzywa, ledwie za nim Gotfryd podążyć może.

Zmęczony się wreszcie tak, że zatrzymać się musiał, by tchu zaczerpnąć. I koza zatrzymała się widać również, bo nie dalej niż o kilka kroków usłyszał ją nagle Gotfryd.

Nie, nie o kilka kroków! O krok najwyżej! Wystarczy jeden skok, a będzie tuż przy niej!

Skoczył — kozy ani śladu, a dzwoneczek znowu gdzieś dalej się odzywa. Zgniewało go to tak, że aż nogą o ziemię tupnął, a tu go z zarośli cichy śmiech dolatuje. Zupełnie, jakby ktoś przedrwiwał sobie z niego. Zdumiał się Gotfryd: Czy to jakieś leśne lichy żarty sobie z niego stroi?

Nieswojo mu się jakoś zrobiło, że to drzewa takie wielkie i czarne w bladym świetle miesięcznym stoją, że to cisza taka i pustka dokoła, a dziwne cienie pełzną między gałęziami...

Może lepiej wracać? Może to nie koza, a duch jakiś leśny ku sobie go wabi?

Ale toć najwyraźniej dzwoneczek jej słyszy, a teraz to znowu jakby beczenie dolatywało do niego. Wstyd byłoby stchórzyć i zwierzątko na pastwę wilków w lesie zostawić. Minął więc Gotfryd rzędzące drzewa i wybiegł na niewielką polaną.

Kie lichy! Kozy ani śladu, a śmiech ów znowu się rozlega, tylko głośniejszy i bliższy jeszcze. Rozgląda się, aż tu otoczy go nagle gromada małych człowieczków, ze skrzydłami motylimi u ramion, w spiczastych czerwonych czapeczkach na głowie. I tańczą wokoło niego, i cieszą się, i radują, aż się po lesie rozlega.

Przypomniał sobie Gotfryd, jak to raz stary bacia opowiadał, że elfy w księżycowe noce pastuszków do siebie zwabiają, dzwoneczki zaginionych owiec naśladują, a później tańczyć im ze sobą do rana każą. Że zaś tańczyć mogą elfy bez chwili wytchnienia, a wytłumaczyć im niepodobna, że się jest znużonym, bo i same nie wiedzą, co to zmęczenie, i drugiemu spocząć nie dadzą, więc najczęściej takiego nieszczęsnego pastuszka martwego nad ranem znajdują.

Źle ze mną! — myśli Gotfryd. — Trzeba iść po rozum do głowy, bo zgine.

I pokłoniwszy się pięknie elfom, powiada:

— Leśne ludki! Widzę, że chcecie ze mną tańczyć, ale prawdę powiedziawszy lepszy ze mnie grajek niż tancerz. Czy nie lepiej byłoby tedy, bym, miast z wami tańczyć, do tańca wam zagrał?

I skrzypki, które zawsze ze sobą nosił, z torby dobył.

Uradowały się bardzo elfy, muzykę bowiem miłują nade wszystko, a każdy rozumie, że co innego skrzypce, a co innego żabia kapela, którą zwykle zadowalać się muszą.

Zaraz też na to przystały, a Gotfryd tak im skocznie i ochoczo wygrywać począł, jak to on jeden potrafił.

Przyszły go słuchać nie tylko elfy, ale i błędne ogniki, leśne panny, i wszystek lud borowy.

Zagładają przez gałązki sarenki i płochliwe zajączki.

<sup>37</sup>miesięczny — tu: księżycowy. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>miarkować (daw.) — domyślać się, wnioskować. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Wypelza z trawy zielona jaszczurka, ogonkiem kręci, czarne oczka figlarnie mruży i do ślimaka powiada:

— Może by i kum<sup>40</sup> w tan się puścił?

A ślimak, choć z natury poważny i powolny, wysadził ciekawie główkę ze skorupy i różkami wesoło rusza...

Tańczą i hulają, a wciąż o nowe piosenki proszą. Zagrał im Gotfryd jedną, drugą, trzecią i czwartą i całemu się zgromadzeniu pokłoniwszy, na polanę, gdzie towarzyszy zostawił, chce wracać. Ale ci ani myślą go puszczać, wciąż o nowe piosenki nagabując.

Oj, źle! — myśli Gotfryd. — Zameczą mnie oni graniem, jak innych tańcem zameczyli. Trzeba znowu użyć fortelu, bo inaczej do rana mnie stąd nie puszcza, a ledwie mi już smyczek po strunach chodzi.

Począł im tedy grać piosenkę-kołysankę. A od tej piosenki cały ów borowy lud ek zrobił się taki senny, że każdy, gdzie mógł, kładł się i zasypiał. Nawet sowy i puszczyki, i ćmy nocne posnęły, choć wiadomo, że to naród do snu nocnego niezwyčajny. Tylko elfy usnąć się jeszcze nie dają, choć w takt piosenki Gotfryda coraz to wolniej i wolniej krążą.

Gdy im jednak Gotfryd ją przygrywać, że to w kielichach kwiatów są wonne łódeczka, że to tak dobrze i miło wyciągnąć się na mięciutkich pierzynkach z puchu dmuchawców, gdy wiatr lekko a pieściwie do snu kołysze — to i je sen zmógł wreszcie.

Powrócił tedy Gotfryd do pastuszków, rad, że mu się szczęśliwie z tej opresji<sup>41</sup> ująć udało.

Bardzo się towarzysze tej jego przygodzie, gdy ją im nad ranem opowiedział, dziwowali.

A więcej jeszcze dziwował się stary baca.

A najwięcej dziwowałem się ja sam, Johannes Sarabandus, gdy mi ją wiele lat potem tenże baca opowiedział. Wiem bowiem z ksiązek czarnoksięskich, że elfy to lud ek złośliwy, naprzykrzony i do podejścia niełatwy. I dziwowałbym się pewnie mocy, którą miała w sobie pieśń tego pacholęcia<sup>42</sup>, jeszcze bardziej i dłużej, gdyby mi stary ten pasterz nie opowiedział o nim historii daleko dziwniejszej, którą zaraz, szlachetni panowie, usłyszycie.

## GÓRALI I PASTUSZKÓW OD OKRUTNEGO WILKOŁAKA I WIEDŹM UWOLNI...

### *O księciu Gotfrydzie opowieść piąta*

W niedługi jakoś czas potem, gdy owa koza, pastuszków ulubienica, zginęła, a Gotfryd się przez nią w przygodę z elfami wplątał, zabłąkały się znowu dwie inne kozy, potem baran i cztery owce, a wreszcie krowa wielka i mleczna, całego stada chluba i ozdoba.

Gryzł się bardzo tą stratą stary baca, a zwłaszcza owej krowy odżalować nie mógł, i gniewał się na pastuszków, że to im tylko figle w głowie i że powierzonych im bydłek upilnować nie umieją. Gdy jednak wkrótce po owej krowie przepadł bez śladu byk, tak mocny i nieustępliwy, że każdemu wilkowi dalby radę, pokiwał smutnie głową i rzekł:

— Oj, chłopcy, chłopcy! Nieczysta to jakaś siła, a nie wilki! Dopóki kozy i owce ginęły, myślałem, że waszego nadzoru to wina, bo wiadomo, że stworzenia to głupie, płochę i żadnego zastanowienia we łbie niemające, to im się jaka przygoda łatwo przytrafić może i strzec ich od niej pilnie trzeba. Ale z krową to już całkiem inna sprawa! I to z jaką krową jeszcze?! Spokojną, stateczną, do samotnych harców i figli wcale nie skłonną! Przekładałem sobie jednak, że taka krowa spłoszyć się przecie może i od stada odbiec, a o nieszczęście w borze nietrudno. Ale byk! Toż on wilka, a nie wilk jego by położył!

Nie skończył jeszcze mówić, a tu przybiegają pasterze z sąsiedniej hali i dopytywają się poczynają, czy też nie widziano dwóch krów z ich stada.

— Jedna, powiadają — czarna, druga — łaciata.

<sup>40</sup>kum — tu: przyjaciel, towarzysz. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>opresja — trudne położenie, kłopotliwa sytuacja. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>pacholę (daw.) — chłopiec. [przypis edytorski]

Zaraz też skargi i żale wywodzić poczęli, że rady sobie ostatnimi czasy dać nie mogą, tak im było spod ręki ginie. I żeby tylko bydło. Ale jak wczoraj dwóch pasterzy poszło w las owiec szukać, tak dotychczas nie wrócili.

— Byli też u nas — powiadają — gospodarze z pobliskich wsi o dzieci się pytać. Na jagody pono poszły i przepadły. Ale, co dziwniejsza, przybiegła wczoraj pod wieczór na naszą halę żona Jana Celnego, który jest, jak wiadomo, pierwszy strzelec na okolicę, i z płaczem nam odpowiadała, że trzy dni temu na kozicę się wybrał i dotychczas go w chałupie nie ma. Ani chybi, jakieś ogromne wilcze gromady aż hen z drugiej strony gór przywlec się tu musiały, wygłodniałe i bardzo zuchwałe!

Słuchał w posępnym milczeniu tych opowiadań stary bacą, a potem w te ozwał się słowa:

— Oj, nie wilki to, nie wilki po okolicy grasują, ale wilkołak się włóczy ze swoją diabelską kompanią. Wyginiemy wszyscy marnie, my i nasze stada!

Strach padł wielki na pasterzy. Umilkli wszyscy, jeden na drugiego z bojaźnią spoglądając. Gotfryd jednak nie strwożył się wcale i z ciekawością jął rozpytywać, kto to jest ten wilkołak i jego kompania, że się go wszyscy tak lękają. Ale stary bacą tak mu odparł:

— Niedobrze jest o tym rozpowiadać. Pustymi gawędami niczemu się nie zaradzi, a nieszczęście łatwo ściągnąć można. Ostrożni bądźcie! Nigdzie się nie rozbiegajcie, a może, da Bóg, jakoś przebijemy, bo złe lichy gromady nie lubi.

Uśluhali go pastuszkowie i żaden nie śmiał już od towarzyszy się oddalać, by malin lub grzybków szukać, a w nocy to się jeden do drugiego tulili jak te owieczki spłoszone.

Umilkł śmiech i wesołe gawędy, smutek i strach zapanowały w gromadzie. Jeden Gotfryd tylko ducha nie tracił i piosenkami swymi serca towarzyszy krzepił.

Ale minęło dni kilka w spokoju zupełnym i otucha<sup>43</sup> wstąpiła w serca pastuszków. Może złe minęło i nie wróci więcej? Jaki taki odważył się znowu od towarzyszy oddalać, to, by kozę zapędzić, to, by drzewo dobre na puszczalki wyszukać.

Złe nie spało jednak, a przyczaiło się tylko, by czujność pastuszków oszukać. I oto pewnego dnia zginął bez śladu Jasiak, zwany Bezdomnym, że to sierotą był i nikogo na świecie nie miał. Gotfryda to był druh<sup>44</sup> najserdeczniejszy. Przerazenie ogarnęło wszystkich, a Gotfryd mimo zakazu bacy długo towarzysza miłego samotnie szukał, bardzo po nim płacząc i smucąc się. Gdy zaś bez niego do obozu powrócił, zemstę potworowi i walkę śmiertelną w duszy poprzyściął. Nic on o tym nikomu nie mówił, ale wciąż przemyślał, jak by wilkołaka odnaleźć.

Jakoż sposobność miała mu się wkrótce nadarzyć.

Przybył pewnego dnia na halę gospodarz z dalekiej górskiej wsi i, bacy się pokłoniwszy, powiedział, że o grajku wielkim, co wśród jego pasterzy przebywa, zasłyszawszy, umyślnie tu przywędrował, by go na wesele prosić. Nie zdziwiła ta prośba ani bacy, ani jego pasterzy, gdyż, jak to już mówiłem, sława Gotfrydowych piosenek tak się po całej okolicy rozeszła, że żadne się wesele ani chrzciny obejść bez niego nie mogły.

Pysznił się<sup>45</sup> też wielce stary bacą, że wśród swoich pasterzy takiego ma grajka, i rad Gotfrydowi swe przyzwolenie dawał. Ten jednak gospodarz nie widział mu się jakoś: obrośnięty jak wilk, cały w skóry odziany, oczyma niby zwierz dziki błyskał, uśmiechając się chytrze a złośliwie.

Nie chciało mu się Gotfryda z nim puszczać, więc na stronę go odciągawszy tak powiada:

— Nie wiem, co on za jeden, ten przybysz, ale źle mu z oczu patrzy, a czasy są niepewne. Od dziada zaś mego słyshałem jeszcze, że wilkołak ludzką postać czasem przybrać może, by tym łatwiej figla jakiegoś niecnego wypłatać. Nierad bym cię też widział w góry i lasy dzikie z tym obcym odchodzącego, a przykro mi odmówić jego prośbie, boć człek to może być najpocziwszy, a jak sam powiada, z daleka tu przywędrował.

Uradował się Gotfryd te słowa usłyszawszy i myśli:

Bóg by dał, żeby wilkołak to był, a nie wieśniak z gór dalekich. Nie wiem jeszcze, co uczynię, ale to jedno wiem, że mu jego diabelskie sztuki na sucho nie ujdą!

Głośno zaś tak do bacy rzekł:

<sup>43</sup>otucha — nadzieja. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>druh — tu: towarzysz, przyjaciel. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>pysznić się — chwalić się, wynosić się nad innych. [przypis edytorski]

— Opowiadał i mnie stary góral, co na hałę po mleko i sery przychodził, jak to się czasem wilkołaki w ludzkiej postaci włóczą. Mówił mi jednak także, że niedobrze się w ludzkiej skórze czują i łatwo ich po tym poznać można, że, by ulżyć sobie nieco, niby suknię niewygodną, często ją zrzucają, to ślepiem krwawym, to pazurem wilczym błyskając. Ten jednak nie czyni tego. A przy tym, na cóż by aż ludzką postać przybierał, by mnie, pastuszka małego, zwabiać? Czyż nie mógłby, gdyby jeno chciał, porwać mnie po prostu i zgładzić, jako z Jaśkiem Bezdomnym uczynił? Wieśniak to zwykły, jeno zarosnięty i źle odziany, jak to czasem wieśniacy z dzikich górskich okolic bywają. Nie godzi się, myślę, takimi podejrzeniami go krzywdzić i prośbie jego odmawiać.

— Idź z nim tedy, jeśli taka twoja wola — rzekł baba — nie będę ci się sprzeciwiał, choć niepokój mnie jakiś trapi.

Wziął więc Gotfryd swe skrzypki i z nieznanym, bacę i pastuszków pożegnawszy, wyruszył.

Nie uszli jeszcze wiele drogi, aliści<sup>46</sup> ów przybysz tak do Gotfryda powiada:

— Strasznie dziś słonko dopieka. Muszę czapkę i kozuch zdjąć. — Zdjął czapkę, a tu spod niej nie włosy, ale coś jakby sierść wilczą widać...

Zdjął kozuch, koszula mu się na piersiach rozchełstała, a ciało miał jak u zwierza włosem obrosłe...

Otarł sobie ręką spocone czoło, a ręka jakby nagle w łapę zwierzęcą z pazurami drapieżnymi się zmieniła...

Ehe... — myśli Gotfryd, ale ni słowa nie rzekł.

Idą dalej, a tu towarzysz Gotfryda znowu skarżyć się pocznie, że mu ciżmy<sup>47</sup> bardzo dolegają.

— Zrzucicie je, gospodarzu — mówi Gotfryd — to wam lżej będzie.

A tamten na to:

— Zrzuciłbym ci je chętnie, cóż kiedy się boję, że się przestraszysz nogi moje ujrawszy.

— Czegóż bym miał się przestraszyć? — zapytał Gotfryd zdziwienie wielkie udając.

— E, bo... nie mam ja takich nóg, do jakich przywykłeś!

— A cóż to — rzekł Gotfryd ramionami wzruszając — kopyta macie na nogach czy jak?

— Kopyta nie kopyta... Ale ciągle po górach chodząc takie sobie odciski i guzy porobiłem, że jak kopyta wyglądają...

— Wiem ja dobrze, jak to czasem skóra od ciężkiej pracy i ciągłego krzątania się twardnieje — odpowie mu na to Gotfryd — a strwożyć mnie byle czym nie można. Mój dziadek to takie odciski na rękach i na nogach miał, że je do dwóch pni sękatych podobnymi czyniły. Czemuż by wasze do kopyt podobne być nie miały? Rozzujcie się<sup>48</sup> tedy nie troszcząc się o nic.

Uradował się wielce nieznanomy.

— Roztropne z ciebie chłopię! — powiada.

I na kamieniu usiadłszy zdjął ciżmy. A u nóg to nie miał wcale palców, jeno końskie kopyta, zwyczajne jak u diabelskiego ludu, ale takie ogromne, że aż się Gotfryd zadziwił.

Niczego jednak po sobie nie pokazał, a nawet uśmiechnął się i rzekł:

— Et, baba z was, gospodarzu! Mój dziadek większe sobie guzy ponabijał, a nie stękał tak jak wy!

Tak prawił, ale gniew w nim wielki wzbierał, a wściekłość aż go dusiła, bo już wiedział teraz na pewno, co to za gospodarz. I byłby pewnie wilkołakowi do gardła skoczył i marnie zginął, ale w czas Jaśka Bezdomnego wspomniął i pomyślał: Nie, towarzyszu miły! Nie będziesz ty niepomoszony! I nie będzie ten potwór okrutny więcej szkody ludziom czynił! Nie dam się zgładzić bezużytecznie! Poczekam sposobnej chwili, gniew na wodzy trzymając, aż dokonam tego, com zamierzył!

Szli tedy dalej cały dzień i całą noc, aż wreszcie do sadyby<sup>49</sup> diabelskiej dotarli.

<sup>46</sup>aliści (daw.) — spójnik wyrażający przeciwieństwo. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>ciżma — but z miękkiej skóry, o wydłużonym czubie. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>rozzuć się (daw.) — zdjąć buty. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>sadyba (daw.) — osiedle, siedziba. [przypis edytorski]

Stała zaś owa diabelska sadyba, gdzie wilkołak wraz ze swymi kumami, wiedźmami i zmorami mieszkał, wśród skał urwistych i nagich, w dolinie niewielkiej i dziwnie ponurej. Bardzo się Gotfryd zdrożył<sup>50</sup>, zanim do niej dotarli, gdyż droga była ciężka, a wilkołak pozbywszy się ciżm, które mu bardzo przeszkadzały, ile że był ludzkiego obuwia niezwyčajny, biegł tak prędko, że ledwie za nim Gotfryd mógł nadążyć. Kiedy się więc w dolinę ową spuścili, na kamieniu przysiadł i rzekł:

— Musicie mi, gospodarzu, nieco spocząć pozwolić!

— Spocznij sobie — odparł wesoło wilkołak. — Choć dziwno mi, że się teraz dopiero znużony poczułeś, boć już stąd dachy chałup widać, a powiadają, że koń prędzej bieży zobaczywszy stajnię.

Usiedli tedy obaj, a Gotfryd ciekawie się dookoła rozgląda i wszystko, co zobaczy, w myśli pilnie waży.

Ale, prawdę powiedziawszy, niewiele tam było do zobaczenia: dolinka to była pusta, niczym nie porośla, a grunt jej czarny i twardy wielkie klepisko przypominał. Na samym jej końcu prawie leżało małe, ale głębokie jeziorko, a za jeziorkiem wznosił się pagórek, już do skał dolinę otaczających przytulony. Na tym to właśnie pagórku pobudował swoje chaty wilkołak i jego kompania.

— Co to za jeziorko? — zapytał wilkołaka Gotfryd.

— To jezioro Jeziołem Topielców zwane — odparł wilkołak.

Zaraz też sobie Gotfryd przypomniał, że mu o tym jeziorze baba opowiadał: Od samego brzegu prawie zaczyna się w nim głębia, a tajemne jakieś wiry wciągają najlepszych pływaków. Nikt z niego żywy jeszcze nie uszedł.

— No, chodźmy już! — rzekł podnosząc się wilkołak.

— Szkoda czasu tracić. W chałupie lepiej niż tu odpoczniesz i posilisz się.

Okrażywszy tedy jezioro, na pagórek, gdzie owe diabelskie chaty stały, wchodzić zaczęli. Nie różniły się one wiele od zwykłych chat chłopskich. Jeny okien w nich wcale nie było, a ściany niepobielone były wapnem, a pocernione smołą, jako że zły duch białej barwy nie lubi.

Każdą z chat otaczał, jak to zwykle na wsi, mały ogródek. Dziwne to jednak były ogródki. Miast słoneczników rosły w nich na wysokich łodygach głowy kocie, które przyglądały się uważnie przechodniom, mrużąc swe błyszczące, zielone oczy. Drzewa miały liście w kształcie rozcapierzonych, zakończonych drapieżnymi pazurami, palców ludzkich, które nieustannie kurczyły się i prostowały, a z boku, porządnie niby główki kapusty posadzone, rosły brodate mordy czarnych kozłów. Ganki oplatało coś, co podobne było trochę do dzikiego wina. Gdy się jednak bliżej Gotfryd tej roślinie przyjrzał, spostrzegł, że jej pnące się łodygi poruszały się nieustannie niby kłębowisko zielonych węży, a kwiaty w kształcie długich, czerwonych języków chowały się i wysuwały znowu, mlaskając łakomie.

Inne chłopię omdlałoby pewnie z przerażenia ujrawszy taką zagrodę, ale Gotfryd nie wiedział, co to strach. Wstręt go tylko przejął i obrzydzenie wielkie, ale ani drgnął nawet, wiedząc, że wilkołak baczenie mu się przygląda. Wreszcie potwór zatrzymał się przed jedną z chat i furtkę otworzywszy wszedł do ogródka. Tu przywitała ich jakaś jejmość<sup>51</sup> chuda jak tycza, z pękiem grubych, stojących do góry, włosów na głowie. Przygląda jej się Gotfryd, co za dziwadło takie, aliści widzi, że to nic innego, tylko zwyczajna miotła w spódnice i kaftanik pięknie przyodziana.

— To służąca mojej narzeczonej — rzekł wilkołak. — Bardzo z niej pracowita i poczciwa dziewczyna.

A miotła nuż wdzięcznie dygać i krygować się<sup>52</sup>, i chichotać, fartuszkciem się, jak to zwykle wiejskie dziewczęta, wstydliwie zasłaniając.

— Nietoperze idę — powiada — napoić, bo już wieczór zapada i wnet się bydelko nasze obudzi.

Tymczasem wilkołak wchodził do izby, więc i Gotfryd za nim podążył.

Izba to była zupełnie ciemna, tylko na środku jej paliło się wielkie ognisko. W czerwonym jego świetle ujrzał Gotfryd siedzącą przy nim wiedźmę o twarzy żółtej jak cyrtyna,

Czarownica

<sup>50</sup>zdrożyć się (daw.) — zmęczyć się. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>jejmość (daw.) — tytuł grzecznościowy używany wobec kobiet. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>krygować się — przesadnie okazywać dobre maniery, wdzięczyć się nienaturalnie. [przypis edytorski]



oczach jarzących się jak u kota, długim, haczykowatym nosie i jednym zielonym zębem, który jej ze szpetnej gęby aż na brodę wylazł.

Wilkołak pokazał jej zaraz Gotrfyda, że to grajek, którego na jutrzejsze wesele przywodził.

— Pewnieście bardzo zdżożeni i głodni po tak dalekiej drodze — zaskrzeczała wiedźma głosem do skrzypienia niesmarowanych kół wielce podobnym — siadajcie więc i jedzcie, bo wieczerza gotowa.

I jęła wnet wyciągać jakieś garnki i garnuszki do czerepów<sup>53</sup> ludzkich i zwierzęcych podobne, a dymiącymi potrawami napełnione.

Ale Gotrfydowi nie chciało się wcale tych diabelskich potraw kosztować<sup>54</sup>, toteż wymówiwszy się, że zmęczenie mu głód odebrało, w kącie izby się położył i udał, że zasypia.

W samej jednak rzeczy nie spał wcale, jeno przysłuchiwał się pilnie rozmowie wiedźmy i wilkołaka.

— Co ty sobie tyle zachodu z jednym pastuchem robisz? — powiada wiedźma do wilkołaka. — Nie mogłeś go to zwyczajnie porwać, tu przyprowadzić i do grania przymusić, zamiast się tak męczyć, w ludzką postać się przyoblekając?

— Żem się zmęczył, tom się zmęczył — odpowie jej na to wilkołak, który resztki skóry z siebie zrzuciwszy stał się nagle wielkim wilczyskiem o błyszczących, czerwonych ślepiach i końskich kopytach. — Uf! Ledwie oddycham! Nie mogłem jednak inaczej postąpić; gdybym bowiem chłopaka porwał i tu przywłókl do grania zmuszając, byłby on ledwie żywy ze strachu i niewesoło by nam do tańca grał. A przecież ma to być takie wesele, jakiego jeszcze nie widziano. Nie darmo wilkołak z wiedźmą się żeni.

Oj, sprawię ja wam wesele! — myśli Gotrfyd, ale dalej udaje, że śpi, pochrapuje nawet.

— Prawda i to — odezwie się znowu wiedźma. — Mądrześ to obmyślił! Ale powiedz no, co z nim później zrobić zamierzasz?

Roześmiał się wilkołak i swe ostre, białe kły szczerząc odparł:

— Myślę, że pieczeń z grajka nie gorsza od innej. Zje się go razem z tym pastuchem, com go zeszłego tygodnia z ich hali porwał!

— Tuczę go ciągle, ale wciąż jeszcze chudy jak tyczka — skrzywiła się wiedźma.

Uradował się Gotrfyd wielce i myśli: Żyw jeszcze jesteś tedy, Janku, towarzyszu miły! Da Bóg, że cię wyswobodzę i cały a zdrów ze mną na halę powrócisz.

Tak myślał, był bowiem już sobie ułożył, jak zmory, czarownice i wilkołaka zgładzi i całą okolicę od tej plagi diabelskiej oswobodzi. A tymczasem słucha dalej, co wiedźma wilkołakowi szepce.

— Za głośno ze sobą mówimy. Chłopak gotów usłyszeć!

— E... — odpowie jej wilkołak — widzisz przecie, jak mocno śpi...

— Śpi albo i nie śpi... Może udaje tylko?

Ale wilkołak roześmiał się.

— Nie taki on chytry! Nie domyśla się nawet, gdzie się znajduje. Strasznie to jakieś głupie chłopczyško!

Więcej nie słuchał już Gotrfyd, gdyż wiedział wszystko, czego dowiedzieć się pragnął, i postanowił wypocząć nieco. Zasnął tedy i przespał nie tylko tę noc, ale i cały niemal dzień następny, ile że znużony był bardzo i wyczerpany po trudach ciężkiej podróży. Obudziły go dopiero przygotowania, które wiedźma i wilkołak przy pomocy miotły do wesela czynili.

— Trzeba będzie wszystkie sprzęty z izby wynieść — powiada wiedźma — bo jak się roztańczy, to miejsca w niej będzie mało.

— Niewiele to pomoże! — westchnął wilkołak. — Izba mała, a gości dużo!

— Już ja bym wiedział, jak ściskowi zaradzić — odezwał się niespodzianie Gotrfyd, który obudziwszy się uważnie tej rozmowy słuchał.

— Cóż byś nam tedy poradził? — zapytał go wilkołak.

— Jeśli chcecie mojej rady — rzekł Gotrfyd — to nie tańczcie w izbie, a w dolinie nad jeziorem. Noc dziś będzie księżycowa, miejsca do płasów dużo, a że krzaków i kamieni tam nie ma, a grunt jest równy i twardy, to wam wygodniej niż w izbie będzie. Wy sobie w dolinie po jednej stronie jeziora hasać będziecie, a ja po drugiej na wzniesieniu pagórka

<sup>53</sup>czerep — czaszka. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>kosztować — tu: smakować, próbować smaku. [przypis edytorski]

stanę i do tańca grać wam będę. Że zaś góry wokoło, to echo moje piosenki po całej dolinie głośno i wyraźnie powtórzy.

— Jak mi diabeł miły! — krzyknie na to wilkołak, który coraz częściej zapominał, że ma wieśniaka udawać. — Jak mi diabeł miły, ma chłopak rację!

Ale wiedźma, że to zwyczajnie baba chytrzejsza jest od chłopca, więcej miała w sobie niż wilkołak przebiegłości. Tak więc do Gotfryda się odezwie:

— Z tą doliną toś mądrze poradził. Ale powiedz no, dlaczego to chcesz aż z drugiej strony jeziora nam grać, kiedy możesz przecie w dolinie między nami stanąć?

— Zaraz wam to wytłumaczę — odparł jej Gotfryd. — Słyszeliście pewnie, że gdy ja skocznie a do ucha wygrywać zacznę, to nikt i nic w miejscu ustać nie może i na nikogo nie zważając, póki tchu stanie, wyskakuje. Toteż, gdybym między wami stanął, tobyście mnie ciągle potracali, grać mi przeszkadzając. A przy tym chciałbym i ja na wasze płasy popatrzeć, a z pagórka łatwiej mi to będzie uczynić, niż gdybym stał w ścisku, wśród gromady.

— Niech więc będzie tak, jak to ułożyłeś — zgodziła się wiedźma zbywszy podejrzenia. I zaraz pobiegła gości w dolinę prosić.

\*

Oj! Było na co patrzeć i czemu się dziwować, jak się ci goście schodzić poczęli!

Nie brakowało tam ani wiedźm ohydnych, co jeno patrzą, jakby ludziom szkodzić, ani zmór i upioryz krwią się ludzką żywiących, ani latawic<sup>55</sup>, co to we mgły i ciemne noce podróźnych po rozstajnych drogach wodzą. Noc była miesięczna i Gotfryd ze swego pagórka mógł dobrze widzieć, jak się to całe towarzystwo w pary do tańca ustawia, bardzo się weseląc, że to im taki grajek będzie grał. Zwykle bowiem na diabelskich weselach jeno wiatr poświstuje i ropuchy rechocą.

No — myśli Gotfryd — ostatni to będzie z boską pomocą wasz taniec. — I pociągnął smyczkiem po strunach.

Hej! Rozległa się po całej dolinie taka taneczna i skoczna muzyka, że nie tylko zmory, wiedźmy i latawice z wilkołakiem na czele w płasy się puściły, ale z chat wybiegły miotły, które, jak wiadomo, czarownicom służą, i ze swoimi paniami w taniec poszły.

A coraz bardziej szaleńczy, coraz zawrotniejszy ów taniec się stawał, aż tchu brakło, aż iskry przed oczyma latać poczęły, a rozwaga opuściła głowy.

Wczepiły się wiedźmy pazurami jedna drugiej w rude kłaki — tańczą.

Wzięły się za ręce zmory i latawice i takie koła zataczają, wyjąc i gwizdząc z uciechy, że aż wiatr leci po całej dolinie, a nietoperze, dzikim wrzaskiem przestraszone, z dachów diabelskich chałup gromadami uciekają.

Pogubiły spódnice i kaftaniki miotły i tak na prawo i lewo wywijają, że jaka taka z wielkiego rozmachu swoją panią po łbie utnie!

A pośrodku tańczy sam wilkołak, kopytami przytupując, krwawymi ślepiami błyskając i kły ostre szczerząc. Hu! Ha!

Oj, niedługo będziesz ty się radował, diabelski synu! — myśli Gotfryd i mocniej jeszcze po strunach pociągnął.

— Naprzód! Naprzód! Do mnie! Do mnie! — zawołały skrzypki.

I całą ławą runęła przed siebie czartowska kompania w tę stronę, skąd ów głos taneczny wabił, niepomna na to, że dzieli ją od niego jezioro bezdenne.

Może ktoś z niej opamiętałby się i zatrzymał, ale roztańczony tłum porywał go ze sobą i unosił.

A skrzypki wołały wciąż z drugiego brzegu jeziora, coraz to głośniejsze, coraz to bardziej ochoczo:

— Naprzód! Naprzód! Do mnie! Do mnie! Hu! Ha!

Przed samą wodą zawahała się jakby gromada, ale muzyką upojona, resztę rozsądku tracąc, prosto w jezioro runęła.

Tak to uwolnił Gotfryd całą okolicę od wilkołaka, zmór, wiedźm i latawic, i całej jego diabelskiej kompanii. Odnalazł też w jednej z chat diabelskich Jaśka Bezdomnego,

<sup>55</sup>latawica (daw.) — czarownica unosząca się w powietrzu. [przypis edytorski]

którego z wielu innyni pasterzami wilkołak tam więził i których od strasznej śmierci czynem swoim uratował.

Wielka radość zapanowała na wszystkich halach i w całej okolicy, a sława pieśni Gotfryda, które taką moc miały, że nawet siła czartowska oprzeć się im nie mogła, nie tylko już po górach, ale po kraju całym się rozeszła, aż dotarła na dwór królewski.

Panował zaś był właśnie podówczas król Zygmunt Wspaniały.

## CÓRKĘ WIELKIEGO KRÓLA UZDROWI I NA DWORZE JEJEGO PAZIEM ZOSTANIE...

*O księciu Gotfrydzie opowieść szósta*

Wybiegli na głos trąb i rogów starzy i młodzi, niewiasty i dzieci, patrzą — a tu sam król miłościwy we sto koni do wsi jedzie. Jadą przodem heroldowie w szatach srebrzystych, a u złotych trąb trębaczy purpurowe wstęgi powiewają. A za trębaczami rycerze w zbrojach lśniących, a za rycerzami sanie w dwanaście par rumaków śnieżnych zaprzężone, a w saniach sam król miłościwy.

Zatrzymali się heroldowie, na cztery cztery strony świata zatrąbić kazali i rozkaz królewski obwołali<sup>56</sup>:

— Niech wystąpi przed oblicze królewskie grajek wioskowy, Gotfrydem zwany!

Wysunął się z tłumu Gotfryd, zmieszany i onieśmielony bardzo, i przed królem stanął.

— Tyżes to jest owym grajkiem, którego sława aż na dwór mój doszła? Mniemałem, że ujrzę męża siwowłosego, a widzę pacholę małe, niewiele co od Roksany mojej starsze! Z daleka przybyłem, by cię usłyszeć, chłopcze. Zagraj mi więc piosenkę jaką, a hojnie cię wynagrodzę złotem i srebrem, łaską moją królewską.

Uśmiechnął się Gotfryd i odparł:

— Nie sprzedaję za złoto ni za srebro piosenek moich, ale jeśliś przybył ich posłuchać, królu, słuchaj tedy.

I grać zaczął tak pięknie, że słuchali go z zachwytem i heroldowie, i rycerze, i sam król miłościwy. A kiedy skończył, zawołał król Zygmunt:

— Grajku najmiłszy! Zaprawdę, nie ma na ziemi całej większego nad cię pieśniarza! Nie w chacie ci nędznej lub szałasie pasterskim mieszkaj! Na dwór cię swój zabiorę, do zamku mego!

I odparł mu Gotfryd:

— Zaprawdę, najjaśniejszy królu, nie pojedę z tobą!

— Nie słyszałeś — rzekł król — jak piękny jest mój zamek. Sklepienie jego tysięcy kolumn wysmukłych wspiera, ściany tkaniny drogocenne, misternie w kwiaty stubarwne haftowane, a srebrem przetykane, okrywają, a posadzki — kobierce miękkie. Sto lamp na złotych łańcuchach zawieszonych ciemności nocy rozprasza. Pachnidła z dalekich przywiezione krajów, w srebrnych amforach zamknięte, woń cudowną rozprzestrzeniają. A wokoło zamku tego mury wysokie i potężne się wznoszą, wrogowi tysiącem baszt przystępu bronią.

Roześmiał się srebrzyście Gotfryd i niebo błękitne wskazując odparł:

— Spójrz w górę, królu Zygmuncie — oto jest zamku mego sklepienie, a gdy noc zapadnie, nie sto, ale sto tysięcy srebrnych lamp na nim zapłonie... Spójrz na te świerki ogromne u dołu przysadziste a mocne, a w górze strzeliste i smukłe — oto są kolumny zamku mego... Spójrz na ten miękki, srebrzysty kobierzec, co posadzkę moją okrywa; czyż piękniejszy przywieźli ci kupcy ze wschodu? A wiosną na inny go zamienię, szmaragdów koloru, w coraz to inne kwiaty haftowany, brylantami rosy się mieniący, kobierzec, co pachnie i żyje... Spórz na te sosny ciche — oto są amfory moje, z których woń żywiczna płynie... Murów zaś żadnych mi nie trzeba, bo nie mam wrogów, królu Zygmuncie... Zaprawdę, nie pojedę z tobą!

— Dziecko nierozsądne, szczęścia swego ocenić nieumiejące! — rzekł król. — Pominij, że nie co dzień łaska królewska cię spotkać może. W zamku moim na złocie i srebrze jadać będziesz, a słudzy moi nisko ci się pokłonią.

<sup>56</sup>obwołać (daw.) — ogłosić coś publicznie. [przypis edytorski]

— Królu miłościwy! — Gotfryd mu na to odpowie. — Las mi poziomki rubinowe na misternie rzeźbionych liściach paproci podaje, a głupiec tylko serca przyjaciół na płatnych sług ukłony zamienia!

Zmarszczył brwi król najjaśniejszy.

— Tysiąc wasali, grajku wioskowy, słucha moich rozkazów i żaden z nich nie ośmieliłby się mego zaproszenia odrzucić, a są to wszystko grafowie i baronowie krwi szlacheckiej i wielkiego rodu, a każdy z nich na dziesięciu zamkach siedzi...

— Tysiąc wasali, miłościwy panie, słucha twoich rozkazów, a są to wszystko grafowie i baronowie krwi szlacheckiej i wielkiego rodu, na dziesięciu zamkach siedzący. Cóż ci po jednym grajku wioskowym?

Uniósł się wielkim gniewem król i zawołał:

— Zuchwałe są, nędzny pastuchu, zuchwałe są twoje słowa! Nie umiałeś ocenić mej łaski, poznasz mój gniew! W pętach cię pachołkom moim na zamek pognać każę!

Pobladał jak płótno Gotfryd, ale zaiste nie była to bladeńść strachu. Ku królowi parę kroków postąpił, głowę w tył dumnie odrzucił, a oczy jego chłodne się stały jak górskie jeziora.

— Możesz mnie, królu Zygmuncie, w pętach na zamek swój pognać — w twojej to jest mocy, ale choćbyś mi miecz swój powoli do serca w pierś wbijał — klnę się na skrzydki moje — nie usłyszysz ani jednej mej pieśni!

Uczyniła się cisza ogromna i nikt z dworzan odetchnąć nie śmiał, a drżeli wszyscy jak osinowe liście.

A król Zygmunt i Gotfryd w oczy sobie patrzyli, jak gdyby w pojedynku osobiwym się mierząc.

I stała się rzecz dziwna: Oto nagle król Zygmunt, pan potężny i dumny, głowę spuścił i głosem cichym prosić począł:

— Odpuść mi, Gotfrydzie, słowa moje! Słowa to były ojca nieszczęśliwego, który nie wie, jak dziecko swe ratować. Córka moja jedyna, księżniczka Roksana, na dziwną i straszną zapadła chorobę, która się smutkiem jadowitym zowie. A powiedzieli mi lekarze, że truje ją ona powoli i że dziecko me jedyne umrze, zanim pąki rozkwitną na drzewach. Jedno ją tylko uratować może — śmiech głęboki i szczery, wprost z serca idący. Ty ją jeden uratować możesz!

— Czemuż mi od razu tego nie powiedziałaś, królu Zygmuncie?! — zawołał Gotfryd. — Nie traćmy czasu na próżne gawędy, jeno co koń wyskoczy księżniczkę ratować spieszmy!

Ucieszył się bardzo król, Gotfryda obok siebie w saniach posadził, płaszczem go własnym otulił, bo mu przez marny kożuszek wiatr świstał, i w drogę ruszać kazał.

Jadą tedy, a Gotfryd króla zapyta:

— Powiedz mi, królu miłościwy, z jakiej to przyczyny księżniczka Roksana chora jest na ów smutek trujący a jadowity?

Westchnął król Zygmunt.

— Gdybym to wiedział, mój chłopcze! Czyż nie posiada córka moja komnat wspaniałych? Czyż sto służebnych nie czeka jej rozkazów? Czyż nia ma szat z aksamitu i jedwabiu, złotogłowiu i srebrnej lamy? Czyż nie obdarzyłem jej najkosztowniejszymi klejnotami? Prawda, że gdy była jeszcze w kołysce, odumarała ją matka. Ale czyż brak jej opieki? Czyż nie posiada dwunastu ochmistrzyń<sup>57</sup>, które czuwają nad każdym jej krokiem? Nie, naprawdę nie wiem, dlaczego córka moja chora jest na ten smutek trujący i jadowity.

Jadą tedy dalej milcząc, a wtem król zapyta:

— Grajku miły, nie wiesz to, dlaczego we wszystkich wioskach ruch taki dziwny panuje i jak gdyby przygotowania świąteczne?

— Królu miłościwy! — rzeknie Gotfryd zdziwiony. — Czyż zapomniałeś, że dziś wieczór, skoro pierwsza zabyłśnie gwiazda, zasiądą ludzie do wieczerzy wigilijnej?

— Smutno jest i ciemno w zamku moim — odparł ponuro król. — Dawno już w nim świąt żadnych nie święcimy — śmierć czuwa u jego bram. Dałby to Bóg, mój chłopcze, abyśmy się dziś wesoło opłatkiem przełamali.

I rzeknie mu Gotfryd z powagą wielką:

<sup>57</sup>ochmistrzyni — tu: opiekunka, wychowawczyni. [przypis autorski]

— Wszystko jest, królu, w mocy Pana i niechże się święci imię jego na ziemi i na niebie...

\*

Kiedy król i Gotfryd weszli do komnaty księżniczki Roksany, zmrok już poczynął zapadać i służebne zapaliły właśnie świece w ciężkich srebrnych świecznikach. A czyniły to cicho i bezszelestnie, gdyż każdy szmer raził chorą księżniczkę.

Ściany komnaty obite były ciemnofiołkowym, prawie czarnym aksamitem, w złote lilie haftowanym, a okna zasłaniały ciężkie kotary.

Księżniczka leżała w wielkim, bogato rzeźbionym łóżu, pod baldachimem z adamaszku.

Jej twarzyczka, jasną aureolą złotych włosów otoczona, bielsza była od koronek pościeli, a drobne rączki bezwładnie spoczywały na bogatych draperiach<sup>58</sup> kołdry.

Wokół niej siedziało sztywnie i nieruchomo, jak przystoi damom dworu w obecności królewskiej, dwanaście ochmistrzyń, które ujrawszy króla jednocześnie podniosły się, jednocześnie dygnęły i jednocześnie usiadły tak samo sztywnie i nieruchomo jak poprzednio.

Ale mała księżniczka nie poruszyła się nawet, tylko długie jej, ciemne rzęsy, rzucające cienie na przezroczystą białość jej twarzy, drgnęły i uniosły się. A wówczas ujrzał Gotfryd oczy o barwie fiołków, dziwnie smutne i zadumane.

— Jakie piosenki lubisz, mała księżniczko? — zapytał.

— Lubię piosenki ciche i smutne, szare i rozplakane jak dzień jesienny. Lubię takie, a nie inne, ponieważ takie, a nie inne wydaje mi się wszystko wokoło mnie.

Westchnął głęboko król, ale Gotfryd nie stropił się<sup>59</sup> wcale, jeno rzekł:

— Dobrze, księżniczko, zagram ci taką piosenkę. Posłuchaj tedy.

I zagrał. A była to dziwna piosenka!

Bim... bum... bim... bum... — pluskają o szyby ciężkie, duże krople deszczu.

Aach... aach... — gną się pod ich ciężarem, skarżąc się żałośnie, kwiaty i zioła.

Szarpie wicherzysko nami... Czyż nigdy nie będzie już słońca?! — szumią drzewa.

Nigdy... nigdy... nigdy... — wyje wiatr.

Bim... bum... bim... bum... — pluskają o szyby ciężkie krople deszczu.

— Podoba mi się twoja piosenka! — mówi mała księżniczka. — Graj jeszcze, graj jeszcze, Gotfrydzie!

I Gotfryd gra dalej.

Cichutka, wążutka niteczka radości wsącza się w szarość jesiennej nuty.

— Co to jest, Gotfrydzie? — pyta księżniczka. — Co to jest, Gotfrydzie?

— To mały promyczek słońca wjrzał spoza chmur, ale zląkł się ciemności i schował się znowu.

— Czy być może, czy być może, Gotfrydzie? Co za tchórz z tego promyka! Biedne drzewa i kwiaty!

— Cyt... poczekaj, księżniczko. On pobiegł do swoich braci i oto wszyscy rozpędzać poczynają chmury. Przystaje zawodzić wichura, prostują się kwiaty, wesolo otrząsają wodę z gałęzi drzewa, uciekają w popłochu szare, kudłate chmury, siedmiobarwna tęcza błyszczą na niebie!

— Ach, dzielne, kochane promyki słońca!

— Błękitne jest niebo świeżym, jasnym błękitem. Błyszczą się diamentowe krople na olśniewającej czerwieni wiśni w sadzie, srebrzyście śmieje się strumyk skacząc z kamienia na kamień... A za strumykiem śmiać się poczynają i drzewa, i kwiaty, i małe elfy o motyli skrzydełkach, i driady<sup>60</sup> o zielonych włosach, i — księżniczka Roksana... Ale mała księżniczka Roksana śmieje się najgłośniejszy i najsrebrzyściej.

I wówczas wszystko poczynają tańczyć: motyle i ptaki, elfy i kwiaty, driady i drzewa... Wyskakuje z łóżeczka swego mała księżniczka i tańczy wdzięczniej i radośniej, prędzej

<sup>58</sup>*draperia* — dekoracyjna falda. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*stropić się* — stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*driada* — boginka lasu mieszkająca w drzewie. [przypis edytorski]

Dwór

Muzyka

i zawrotniej niż motyle i ptaki, i elfy, i kwiaty, i driady... Złote jej loki fruwały około zaróżowionej tańcem twarzyczki, a spod długiej, białej, nocnej koszulki migają, goniąc jedna za drugą, niby dwa malutkie gołąbki, jej drobne nóżki.

I płacząc, i śmiejąc się patrzy na to stary król, aż wreszcie, jak się nie zerwie, jak nie zawinie swego płaszcza z gronostajów i jak sam w tan się nie puści! A za królem i Gotfryd razem ze skrzypkami!

Tylko dwanaście ochmisrzyń siedziało sztywnie i nieruchomo, jak przystoi damom dworu w obecności królewskiej...

Zatrzymał się wreszcie Gotfryd, a że obawiał się, iż zbyt długie zmęczenie może księżniczce zaszkodzić, przeto grać począł, jak słońce zachodzi, jak powracają do gniazd ptaki, jak stulają kielichy kwiaty. I księżniczka pozwoliła się do snu ułożyć.

A Gotfryd usiadł przy niej i grał jej, jak wschodzą gwiazdy i jak usypiają ptaki i kwiaty, i drzewa, i ciemne górskie jeziora, i świat cały tajemniczy, daleki i nieznany.

Usnęła księżniczka, a przy niej usnął w głębokim fotelu stary król, a w końcu sam grajek.

Tylko dwanaście ochmiszrzyń siedziało sztywnie i nieruchomo, jak przystoi damom dworu w obecności królewskiej...

Nazajutrz księżniczka Roksana obudziła się zdrowa, ale pierwsze jej słowa były:

— Czy zostaniesz już przy mnie na zawsze, Gotfrydzie?

A Gotfryd, patrząc w jej wielkie, fiołkowe oczy, wczoraj pełne łez, a dziś słońca, odparł:

— Zostanę przy tobie na zawsze, księżniczko.

I został. I był pazurem i grajkiem księżniczki, a dwoje tych dzieci miłowało się bardzo.

## OSTROGI RYCERSKIE OTRZYMA, ZWYCIĘZCĘ STU TURNIEJÓW POKONAWSZY...

### *O księciu Gotfrydzie opowieść siódma*

Posłuchajcie tej opowieści o zdarzeniu dziwnym i cudownym, a prawdę słów moich niech potwierdzą ci wszyscy szlachetni książęta, grafowie i baronowie, którzy byli na uczcie wydanej przez króla Zygmunta na cześć jego zwycięstwa nad władcą pogańskim, Solimanem.

Wielu już tych mężów nie żyje, a wielu się po świecie rozproszyło; ale żywie jeszcze Arnold z Trevilu, którego ta przygoda spotkała, jego więc możecie zapytać, a nie będzie miał czelności zaprzeczyć. Nie radzę wam tego jednak czynić, bo jest to pan obyczajów grubych i sprośnych, nic z przyjemnej dworskości, przystojnej dla rycerza, w sobie niemający.

Na tej właśnie uczcie ukazała się po raz pierwszy księżniczka Roksana, która dzieckiem jeszcze będąc nie brała dotychczas w rycerskich zabawach udziału. Za jej to krzesłem stał, jako paź jej, książę Gotfryd, któremu się podówczas czternasta zaczynała wiosna; a naprzeciw niej siedział hrabia Arnold z Trevilu, będący w poszanowaniu wielkim dla swej siły i odwagi i chełpiący się<sup>61</sup> bardzo tym, że w stu turniejach był zwycięzcą.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że paziowie królewscy nosili suknie z błękitnego aksamitu, a na piersiach miał każdy herb swego rodu złotem haftowany, bo były to wszystkie pacholęta krwi szlacheckiej.

Jeden tylko Gotfryd nie miał żadnego herbu, bo nikt nie wiedział, kto jest zacy i skąd pochodzi. Tak więc ów hrabia Arnold, podchmieliwszy<sup>62</sup> sobie czerwonym winem, drwić z niego nieprzystojnie zaczął, gdyż był, jak to już powiedziałem, grubych i sprośnych obyczajów pan.

Mówi tedy hrabia Arnold do Gotfryda:

— Słuchaj no, paziu królewski, cóż to się z twoim herbem stało? Czyś go gdzie po drodze zgubił? Boć słyszałem, że masz herb bardzo piękny: Owca na zielonym polu, a nad nią dwa kije na krzyż...

Przygryzł Gotfryd wargi, dumnym spojrzeniem Arnolda zmierzył, ale nic nie odrzekł.

<sup>61</sup>chełpić się — chwalić się. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>podchmielić (pot.) — upić się lekko, wstawić się. [przypis edytorski]

A Arnold pod boki się wzięwszy, śmiechem parsknął i rzecze:

— Coś bardzo z góry na mnie spoglądasz, mój chłopcze! Czyżbym się co do herbu twego pomylił? Król cię księżniczce w podarku na gwiazdkę przywiózł, to może masz gwiazdkę wigilijną w herbie? Oj, oj, wspaniały to herb, a rzadki! To i nie dziwota, żeś dumny!

Zagryzł jeszcze mocniej usta Gotfryd, tak że mu krew na wargi wystąpiła, i pobladł jak płótno, ale nic nie odrzekł.

— He! He! — odezwie się znowu Arnold. — A czy pozwolisz się zapytać, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej, w jakich okolicach księżycy leży twój zamek rodowy, oszczercy<sup>63</sup> bowiem powiadają, że nie istnieje on zgoła<sup>64</sup> i że przodkowie twój świnie pasali?...

Zmarszczyła brwi księżniczka Roksana i śliczne swe usteczka dumnie wydawszy rzekła:

— Hrabio Arnoldzie, jeśli przodkowie Gotfryda świnie pasali, to w każdym razie dwornością obyczajów przewyższając cię musieli...

Roześmiał się król i wszyscy rycerze, a hrabia Arnold purpurowy się z gniewu zrobił i rzekł:

— Zaiste, dostojna księżniczko, niepotrzebnie się tak za sługą swym ujmujecie, sam on mi przecie odpowiedzieć potrafi. No, cóż, Gotfrydzie, czy ogłuchłeś czy nie raczysz ze mną rozmawiać?

Ale Gotfryd milczał, wciąż z tą samą zimną pogardą na niego patrząc. Huknął pięścią w stół Arnold, aż zadźwięczały kielichy i zatrzeszczały deski, i zawołał:

— Widzę, że śpiesz na służbie, paziu królewski, ale ja cię zaraz obudzę!

I kość z półmiska porwawszy w Gotfryda nią cisnął.

Wystąpił na środek sali Gotfryd i mały mieczyk, który paziowie dla ozdoby nosili, z pochwy wyciągnawszy rzekł:

— Wobec króla najjaśniejszego i dostojnej księżniczki, i wszystkich tu zebranych rycerzy wyzywam cię, grafie Arnoldzie z Trevilu!

Wybuchnęli śmiechem rycerze, bo też i zabawny był widok dziecka tego naprzeciw olbrzymiego i barczystego męża stojącego i wywijającego mieczykiem do zabawki podobnym... A najgłośniej śmiał się hrabia Arnold z Trevilu.

Ale Gotfryd, twarzą do króla się zwróciwszy, głosem silnym i dźwięcznym jak spiż mówić począł:

— Królu najjaśniejszy! Uczyni sprawiedliwość! Nie pozwól, by hrabia z Trevilu, zływszy<sup>65</sup> mnie, odszedł bezkarnie! Niech za słowa swe odpowie według prawa rycerskiego!

A taka była w nim powaga i godność, że cisza się stała wielka i śmiech zamarł wszystkim na ustach.

Podniósł głowę król i rzekł surowo:

— Hrabio Arnoldzie z Trevilu! Czyś nie słyszał wyzwania? Rozkazuję ci wyjść i walczyć!

Spojrzeni po sobie rycerze, podniósł się z miejsca Arnold i rzekł:

— Żartujesz chyba, najjaśniejszy panie! Toć zhańbiłbyś na wieki mnie i ród mój, z chłopcem bić mi się każąc. Toć wszyscy by mnie palcami wytykali, szydząc: Oto mężny rycerz, co wytrącił miecz z ręki dziecka! A gdybym, wytrącając mu miecz, skaleczył go, co się przecież i najzręczniejszemu zdarzyć może, cóż bym wtedy począł ze wstydu?

Aliści odparł mu król:

— Arnoldzie z Trevilu! Rycerz nie obraża słabszych. Obrażając go, uznałeś go za równego sobie. Idź tedy i walcz!

— Czyż nic, najjaśniejszy panie — zapytał Arnold — nie zdoła zmienić twego postanowienia?

— Nic, Arnoldzie z Trevilu!

— A gdyby Gotfryd cofnął swe wyzwanie?

— Wówczas jedynie mógłbym cofnąć swój rozkaz.

— Słuchaj, chłopcze — rzekł groźnie Arnold — rozumiesz przecie, że wytrącę ci miecz za pierwszym uderzeniem! Wiedz tedy, że nauczę cię wówczas mego miecza płazem,

<sup>63</sup>oszczercza — ktoś, kto kłamie, by poniżyć lub skompromitować inną osobę. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>zgoła (daw.) — zupełnie, całkiem. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>złyć — obrzucać obelgami. [przypis edytorski]

co to znaczy z rycerzami się mierzyć! Odstąp lepiej od swego wyzwania, a dam ci tyle złota, ile udźwignąć zdołasz.

— Hrabio Arnoldzie! — zawołał Gotfryd, a oczy jego płonęły. — Hrabio Arnoldzie, do poprzednich obelg dodałeś nową! Wiedz jednak, że los bitwy nie w twoim, lecz w Boga jest ręką! Na świętego Jerzego! Wychodź albo ja cię płazem do walki przymuszę, tchórzku nikt nie zdoła!

— Ha! Zuchwały szczeniaku! — ryknął Arnold. — Broń się tedy!

I krzyżowym cięciem na niego natarł.

Oślepił się Gotfryd swym dziecinny mieczykiem i, o dziwo — odbił uderzenie.

Okrzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich piersi: Jak to, zwycięzca w stu turniejach nie wytrącił temu dziecku przy pierwszym natarciu miecza?! Podnieśli się z miejsc rycerze i kołem zapaśników otoczyli.

Nieprzytomny prawie z wściekłości natarł Arnold po raz drugi. I po raz drugi Gotfryd odparował jego cięcie.

Wówczas Arnold stracił panowanie nad sobą. Poczul, że oto cała jego sława rycerska wniwecz się obraca i że jeśli nie zwycięży natychmiast w tej śmiesznej, dziecinnej walce, to nie będzie takiego rycerza, który zechciałby swój miecz z jego mieczem skrzyżować. Nie pamiętał już o tym, że walczy przeciw dziecku. Nacierał z zaciętą, mściwą wściekłością. Używał swoich wszystkich najslawniejszych, najtrudniejszych do odparcia, niezwykłych cięć. Ale nadaremnie! Gotfryd odbijał jego miecz tak lekko i swobodnie, jak gdyby walka ta była dla niego zabawką. Długi czas ścierali się ze sobą i coraz słabsze, coraz mniej pewne stawały się uderzenia Arnolda.

Aż oto drugi okrzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich piersi: Gotfryd przeszedł z obrony do natarcia!

Przez kilka chwil bronił się Arnold, z widoczną trudnością razy przeciwnika odpierając, po czym tyłem cofać się począł.

I wówczas nagle puścił Gotfryd miecz swój zawrotnym mistrzowskim młynkiem i trzeci okrzyk wyrwał się z piersi rycerzy: miecz Arnolda zatoczył krąg i upadł do stóp Gotfryda, który nogą nań nastąpiwszy rzekł spokojnie:

— Walka jest skończona, hrabio Arnoldzie!

Zakrył Arnold z cichym jękiem twarz rękami.

— Jestem zhańbiony, królu miłościwy! Zdejmijcie mi rycerski pas i ostrogi, bo niedziedzin jestem ich nosić! Przyślijcie mi kądziel<sup>66</sup> i wrzeciono<sup>67</sup>, bo ono mi teraz tylko przystoi!

— Mylisz się, Arnoldzie — rzekł poważnie król. — Jest nas tu trzynastu rycerzy, ale żaden z nas nie oparłby się temu dziecku! Śmiało rzec możesz, iż raz tylko byłeś pokonany, ale pokonał cię wojownik, jakiego jeszcze między rycerzami nie było! Gotfrydzie! Nie miałeś dotąd godła — miej godło Gwiazdy Wigilijnej! Nie miałeś miana — zwij się Gotfrydem Zwycięzcą! Byłeś paziem — klękaj!

Gotfryd ukląkł, a król trzy razy go po ramieniu uderzywszy rzekł:

— Jesteś rycerzem!

I zawołali grafowie i baronowie:

— Niech żyje Gotfryd Zwycięzca, rycerz Gwiazdy Wigilijnej!

Ale Gotfryd, z klęczek się nie podnosząc, na księżniczkę Roksanę błagalnie patrzył. Zrozumiała to spojrzenie Roksana i wstęgę błękitną od sukni oderwawszy z uśmiechem ją Gotfrydowi podała.

## MIECZA NIE DOBYWAJĄC ZAMEK, NA KTÓRY SAM KRÓL Z CAŁĄ DRUŻYNĄ PORWAĆ SIĘ NIE WAŻYŁ, ZDOBE- DZIE...

*O księciu Gotfrydzie opowieść ósma*

Osiemnasty się rok Gotfrydowi poczynał i wslawiony był już młody książę wieloma

<sup>66</sup>kądziel — pęk włókna do przedzenia. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>wrzeciono — przyrząd do przedzenia ręcznego. [przypis edytorski]



rycerskimi czynami, gdy wydarzyło się razu pewnego, że przybyła na dwór króla Zygmunta wdowa po wasalu jego ze skargą bardzo żalowaną. Rzecz zaś miała się tak:

Po śmierci jej męża poprosił ją o rękę pan wielu sąsiednich zamków. Ale że nie czuła ku niemu afektu<sup>68</sup> żadnego, przeto odmówiła jego prośbie. Wówczas obrażony rycerz siola<sup>69</sup> jej zagarnął, zamek spalił, a ją samą z małym synkiem precz wygnał.

Rozgniewał się bardzo król na gwałt takowy i obiecał bezprawie ukarać, a siedzibę jej przywrócić. Ale gdy o imię krzywdziciela się zapytawszy usłyszał, że jest nim hrabia z Montclair'e'u, zasępił się wielce i rzekł:

— Bóg widzi, dobra pani, że nierad bym cię z niczym od tronu naszego odchodzącą widział. Cóż jednak mam uczynić, kiedy nie jest w mojej mocy z grafem Albertem walczyć. Siedzi on na zamku niezdobytym, a drużyna jego niewiele jest mniejsza od mojej. Próbował już raz rodzic mój zamek butownika tego oblegać, ale od murów jego ze wstydem odstąpić musiał. Zapytajcie się, łaskawa pani, wszystkich tu zebranych rycerzy, a potwierdzą słowa moje.

I powtórzyli mu chórem rycerze:

— Prawdę rzekł nasz król! Próżny byłby to trud na hrabiego Alberta z Montclair'e'u się porywać.

Aliści wystąpił z grona rycerzy Gotfryd i gniewem szlachetnym zapłoniony rzekł:

— Czy mnie słuch nie myli, królu najjaśniejszy i wy dostojni panowie? Azali<sup>70</sup> naprawdę chcecie wdowę tę z niczym odprawić z trwogi przed jednym rozbójnikiem i buntownikiem?! Azaliście zapomnieli, że pierwszą powinnością rycerza jest słabych i uciśnionych bronić?!

Odwaga

Zmarszczył brwi król.

— Gotfrydzie! — rzekł. — Szanuję cię bardzo i miły mi jesteś niby syn rodzony. Ale choć wielkim jesteś rycerzem, nie przystoi ci jednak mężom siwowłosym tchórzostwa zarzucać. Co innego bowiem jest, Gotfrydzie, męstwo, a co innego nierozsądne zuchwałstwo. Cóż byśmy wdowie tej pomogli, gdybyśmy pod murami zamku Alberta polegli?

— Przystoi rycerzowi — odparł na to Gotfryd — w sprawie uciśnionego polec, ale nie przystoi mu wcale z niczym go odprawiać...

Rozgniewali się bardzo rycerze i jeden z nich rzekł szyderczo:

— Czemuż to nam wyrzuty czynisz, że się za wdową tą ująć nie chcemy? Jeśliś taki mężny i obowiązkom rycerza do śmierci wierny, ujmij się za nią sam. Droga do Montclair'e'u dla wszystkich otwarta. Jedź sam tedy i walcz, „niezlomny” rycerzu!

Nie odparł no to nic Gotfryd, jeno z sali wyszedł, a myśleli wszyscy, że się obraził albo zawstydzził, niesłuszność swoich zarzutów zrozumiałwszy.

Nie tak ci to jednak było.

Gotfryd do swojej poszedł izby i szaty aksamitne z siebie zrzuciwszy od stóp do głów w żelazo się przyodziął, po czym giermka<sup>71</sup> swego przywołałszy rumaka mu osiodłać kazał.

I zapytał go giermek jego:

— Czy przed główną bramę mam wyprowadzić waszego konia, panie mój?

A odparł mu Gotfryd:

— Nie, giermku, wyprowadź go przed boczną i tak, aby nikt tego nie spostrzegł.

I zapytał go giermek jego:

— Czy mam jechać z wami, panie mój?

A odparł mu Gotfryd:

— Nie, giermku, jadę samotny...

I zapytał go giermek jego:

— Czy prędko wrócić, panie mój?

A odparł mu Gotfryd, uśmiechając się dziwnie:

— Nie, giermku, nieprędko wrócę, najpewniej już nigdy!

I dosiadłszy rumaka pojechał Gotfryd w stronę Montclair'e'u. Jechał Gotfryd dwa dni

Zamek, Odwaga, Pojedynek

<sup>68</sup>afekt (daw.) — uczucie, miłość. [przypis autorski]

<sup>69</sup>siolo (daw.) — osada wiejska. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>azali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>giermek — sługa rycerza. [przypis edytorski]

i dwie noce, aż na trzeci dzień pod murami zamku hrabiego Alberta stanął i w róg zatrąbił.

Wszedł tedy na mury wartownik i zawołał:

— Czego żądasz, obcy rycerzu? Czy w gościnę do dostojnego pana mojego przybyłeś, czy spuścić mam most zwodzony?

Ale odrzekł mu Gotfryd:

— Nie goszczę pod dachem zbójów nikczemnych, wartownika zamkowy! Idź do pana twojego i powiedz mu, że Gotfryd Zwycięzca, rycerz Gwiazdy Wigilijnej, stoi przed bramą zamku i czeka na niego! Jeśli odda zgrabione dobra wdowie po króla Zygmunta wasalu i pieszo, bez miecza i z odkrytą głową, tę panią za gwałt i rozbój, a króla za nieposłuszeństwo, przeprosić pójdzie, wówczas odejdzie Gotfryd tam, skąd przyjechał. Jeśli jednak uczynić tego hrabia Albert nie zechce, niech przyjdzie tutaj z Gotfrydem się zmierzyć! Wyzygam jego i wszystkich jego rycerzy!

Zdziwił się bardzo wartownik Gotfryda zuchwalstwem, ale nic mu nie odrzekł, jeno panu swojemu słowa jego powtórzyć poszedł.

A ucztował właśnie hrabia Albert wraz z całą drużyną w wielkiej sali zamkowej. Stał tedy przed nim strażnik ów i powinność swoją spełnił. Słuchał go w milczeniu hrabia Albert, a twarz jego była purpurowa i sina się stała, jakby mu wszystka krew do głowy uderzyła. Oczy mu jak u byka wściekłego na wierzch wyszły, żyły na czole nabrzmiały, a ręka jego to za miecz, to za gardło chwyciła, jakby się obawiał, że go wściekłość udusi.

— Hej! — ryknął wreszcie. — Dajcie mi tu mój miecz i zbroję moją! Zuchwały młodzik, nauczę cię, co to znaczy hrabiemu Montclairé'u obrazić!

Ale stary burgrabia<sup>72</sup> zamkowy głową wstrząsnął i rzekł:

— Zaprawdę, nierozsądnie byłoby to bardzo, żebyś poszedł, panie mój, z tym młodym rycerzem walczyć! Cóż bowiem myślał Zygmunt posyłając go tutaj? Oto myślał: Jeśli hrabia Albert zuchwalstwem jego rozgniewany pacholkom go ubić każe, tedy rozgłoszę to wszędzie i zhańbię go w oczach wszystkich rycerzy chrześcijańskich. Jeśli zaś sam na walkę z nim wyjdzie, tedy albo polegnie hrabia Albert i pozbędzie się buntowniczego wasala, a dobra jego zagarnę, albo Gotfryda zabije, a wtedy rozgłoszę, że zabił go nie w szlachtetnej rycerskiej walce, ale zdradnie<sup>73</sup> go ze wszystkich stron z drużyną opadłszy. Uwierzy mu w to łatwo<sup>74</sup> każdy, bo młody ten rycerz wielką się cieszy sławą i nie ma pono na dworze Zygmunta nikogo, co by mu pola dotrzymał.

Tak prawił stary burgrabia, a Alberta ponownie wściekłość dusić zaczęła. Tupnął tedy nogą, aż się po sali echo odezwowało.

— Cóż tedy mam robić? — zawołał. — Czyż mam pozwolić, by mi zuchwalec ten bezkarnie urągał<sup>75</sup>!?

— Panie mój — odparł burgrabia — posłuchaj rady starego sługi. Poślij pacholka do Gotfryda i każ mu powiedzieć, że nie z każdym przyjezdnym chłystkiem<sup>76</sup> krzyżuje swój miecz Albert z Montclairé'u. Niech jedzie tedy, skąd przyjechał... Tak zawiedziesz chytre rachuby Zygmunta, a jednocześnie ukarzesz Gotfryda bardziej, niż gdybyś go pokonał. Cóż bowiem większą jest karą dla rycerza niż pogarda?

Podobała się bardzo ta rada hrabiemu Albertowi i kazał strażnikowi słowa burgrabiego Gotfrydowi powtórzyć.

Wysłuchał go spokojnie Gotfryd i rzekł:

— Wartownikowi zamkowy, powiedz panu twemu, że rycerz, który broni sprawy pokrzywdzonego, może paść w walce, ale nie może bez walki sprawy tej odstąpić. Będę tedy czekał tu tak długo, aż nie wyjdzie na bój hrabia Montclairé'u!

Rzekł i stanął prosto i nieruchomo z obnażonym mieczem w dłoni, jak przystoi rycerzowi, który wyzwał wroga na walkę śmiertelną i oczekuje na jego przybycie.

Roześmiał się głośno hrabia Albert, gdy mu strażnik odpowiedź Gotfryda powtórzył.

— Niechże czeka! — zawołał. — Nie przeszkadza mi to wcale. Bawimy się tu dobrze przy kielichach!

<sup>72</sup>burgrabia — urzędnik zamkowy; zastępca starosty lub kasztelana; zarządca grodu. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>zdradnie (daw.) — zdradziecko. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>łatwo (daw.) — łatwo, bez trudu. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>urągać — wymyślać komuś, obrażać kogoś. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>chłystek — młody, niepoważny człowiek. [przypis edytorski]

I ucztował hrabia Albert ze swymi rycerzami, ucztował przez całą noc, dopiero nad ranem poszedł na odpoczynek do swej komnaty.

I spał snem ciężkim, mocnym i długim, miodem gęstym i złocistym i winem jak krew czerwona odurzony. A gdy się zbudził, wysoko już było słońce na niebie. Podniósł się tedy z łoża szerokiego, miękkimi skórąmi zasłanego, i poszedł na mury obejrzeć, czyli warty rozstawione i czyli każdy swój obowiązek czyni.

Patrzy, a tu pod murami rycerz młody, bardzo pięknej postawy, prosty i nieruchomy z mieczem obnażonym w dłoni stoi. Zdziwił się Albert i strażnika zapytał:

— Wartowniku zamkowy, co to za rycerz i na co tu czeka?

I odparł mu strażnik:

— Czy zapomniałeś już, panie mój, o wyzwaniu, którym ci wczoraj powtórzył? Ten młody rycerz to Gotfryd Zwycięzca, a czeka na ciebie, hrabio Montclairu. Stoi tak od wczoraj, nie drgnąwszy nawet, rycerskie swe słowo dzierżąc<sup>77</sup>.

Wzruszył ramionami hrabia Albert.

— Wielki jest upór w tym człowieku — rzekł — ale i nierozsądny bardzo. Czyż myśli, że zdoła mnie wbrew mej woli tym sposobem do walki przymusić? Śmieszne to urojenie! A niech stoi, jeśli mu to przyjemność sprawia, choć do sądnego dnia! Ty zaś każ pachółkom, aby wszystkich moich rycerzy znów na ucztę prosili.

I ucztował znów Albert dzień cały i całą noc, a kiedy już świtało, pazia zawołał i kazał mu strażników zapytać, czy dawno Gotfryd odjechał. Wrócił po chwili paź i rzekł:

— Dostojny panie! Nie odjechał wcale Gotfryd. Stoi przed bramą, prosty i nieruchomy z obnażonym mieczem w dłoni, tak właśnie jak przystoi rycerzowi, który wyzwwał przeciwnika na walkę śmiertelną i oczekuje na jego przybycie.

Zaklął hrabia Albert i dziwnie gniewny i ponury odszedł do swojej komnaty, a zasnąwszy rygle samotnie nad czymś rozmyślał.

Aliści pod wieczór dnia tego straszna się zerwała burza. Najstarsi ludzie powiadają, że nigdy jeszcze takiej burzy nie widzieli.

Oślepiająca jasność błyskawic zdawała się rozdzierać niebo, huk grzmotów ogłuszał, a deszcz lejący strumieniami wypłoszył nawet warty z murów. Każdy chronił się, jak mógł i gdzie mógł. A burza szalała noc całą i dopiero ze wschodem słońca uciszać się nieco poczęła.

Wtedy to właśnie przywołał do siebie Albert pazia i rozkazał mu do burgrabiego, którego izba na wieży się znajdowała, iść i zapytać go, czy dawno Gotfryd odjechał.

Z niemałym strachem, po kolana w wodzie brodząc, dostał się do wieży burgrabiego paź i pytanie pana swego powtórzył.

Wziął go za rękę burgrabia i do okna podprowadziwszy rzekł krótko:

— Patrz.

Spojrzał paź i krzyknął z zadziwienia wielkiego. Pośród światła i błyskawic, i huku grzmotów, wycia wichru i ulewy deszczowej stał tak Gotfryd. Stał prosto i nieruchomo z obnażonym mieczem w dłoni, jak przystoi rycerzowi, który wyzwwał przeciwnika na walkę śmiertelną i oczekuje jego przybycia...

Poszedł tedy paź do hrabiego i to, co widział, mu opowiedział.

Popatrzył na niego ponuro Albert i ręką drzwi wskazał na znak, by się oddalił.

Odszedł paź, ale pachółek, co u drzwi na rozkazy oczekiwał, słyszał, jak hrabia Albert bez spoczynku, ciężkimi krokami po izbie się tłukł niby zwierzę dziki, w klatkę pojmany.

A nazajutrz skwar taki po owej burzy nastął, że zdawało się, iż żar roztopiony z nieba się leje. I znowu najstarsi ludzie powiadali, że jako żywo upału takiego nie widzieli. Nikt z komnat nie wychodził, bo powietrze parzyło płuca, kamienie dziedzińca stały się jak rozpalone żuźle<sup>78</sup>, a woda w studni wyschła.

Roztworzył drzwi swej komnaty książę Albert i po krętych schodach na basztę wyszedł, a potem w dół spojrział.

Pod murami zamku, na których ani jeden nie został wartownik, na polu, którego zboża i kwiaty tak wypaliło słońce, że w piaszczystą zamieniło je pustynię, stał Gotfryd. Zbroja jego rozpalona była do czerwoności, iż wydawał się ognistym słupem, od którego

<sup>77</sup>dzierżyć (daw.) — trzymać; tu: dotrzymywać słowa. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>żuźel — tu: grudka spieczonego popiołu. [przypis edytorski]

blaski i światła szły dziwne. Stał prosty i nieruchomy z obnażonym mieczem w dłoni, jak przystało rycerzowi, który wyzwiał przeciwnika na walkę śmiertelną i oczekuje jego przybycia.

Patrzył na niego długo hrabia Albert, ale na twarzy pana na Montclairie nie było ani gniewu, ani naigrawania się.

Hrabia Albert był bardzo blady, a oczy jego były pełne łez.

I nagle zachwiał się Albert, jakby go tamten rycerz z dołu strzałą w samo serce ugodził, i padł na kolana.

I bił się w piersi hrabia Montclairu, i szlochał jak dziecko. A potem kazał dać sobie włosienicę<sup>79</sup> i worek z grubego płótna i bosa, z odkrytą głową, w dół zeszedł po moście zwodzonym i przed Gotfrydem stanął.

Ale Gotfryd nie widział go.

Twarz rycerza była spalona, usta popękane od żaru i pragnienia, a oczy zaszele krwią i ośleple od słońca.

Kłękając tedy przed nim Albert i kolana jego obejmując rzekł:

— Oto zwyciężyłeś mnie, Zwycięzco! Oddaj wdowie, o której cześć walczyłeś tak mężnie i wytrwale, jak żaden jeszcze nie walczył rycerz, ziemie jej należne, moje zaś dobra i zamek mój prawem łupu wojennego do ciebie należą. Niewolnikiem jestem twoim i uczynię wszystko, co rozkażesz. Jedną mi tylko łaskę wyświadczyć: wejdź pod ten dach, który dotychczas swoim zwałem, pokrzep się nieco i spocznij.

Ale Gotfryd przytulił głowę jego do piersi i odparł:

— Niech mnie Bóg broni, bym ci dobra twoje i zamek twój zabierał! Napraw je-no krzywdę, którąś wyrządził, bądź mi przyjacielem, a do domu twego chętnie wejdę i spocznę w nim bardzo rad.

Weszli więc do zamku, a hrabia Albert, ugościwszy rycerza, na posłaniu go ze skór miękkich ułożył i do rana sam nad nim czuwał.

Nazajutrz obudził się Gotfryd zdrowy i wypoczęty i do stolicy pojechał.

Ale sława jego czynu biegła przed nim i kiedy do zamku królewskiego się zbliżył, oczekiwał przed bramą na niego sam król najjaśniejszy i księżniczka Roksana, i dwór cały, i wszyscy wasale.

Zsiadł z konia Gotfryd i do króla z powitaniem podszedł.

Aliści rzekł król:

— Bądź pozdrowiony, Gotfrydzie Zwycięzco! Odtąd nie tylko „Zwycięzcą”, ale i „Niezlomnym” będziemy cię zwali. — A potem miecz swój odpasując dodał: — Za stary już jestem, bym mógł sam sprawiedliwość wymierzać i rycerzy mych na bój prowadzić, a nie dał mi Bóg syna. Bądź tedy odtąd drużyny mojej dowódcą! Masz miecz mój jako godło twojej władzy.

I zawołali rycerze:

— Zaprawdę, słuszny to wybór, albowiem jest tu między nami wielu starszych od niego, ale nie ma godniejszego!

Wziął tedy Gotfryd miecz z rąk królewskich i do boku swego przypasał, a rycerze otoczyli go kołem.

Ale Gotfryd popatrzył ponad nich, tam gdzie stała obok króla księżniczka Roksana i uśmiechała się do niego najpiękniejszym ze swych uśmiechów.

## **KSIĘŻNICZKA MÓRZ PODARUJE MU PIERŚCIENŃ CZARODZIEJSKI, WŁADZĘ NAD MORZEM DAJĄCY...**

*O księciu Gotfrydzie opowieść dziewiąta*

Czy widzieliście kiedy, szlachetni panowie, umarłe kamienie?

Czy widzieliście kiedy omdlałe w matowej białości perły, szafiry, co utraciły swój błękit, szmaragdy, co nie mienią się już zielenią morza, rubiny, co nie lśnią krwawym, tajemniczym światłem, opale, w których nie łamie się już wielobarwna tęcza?

Czy widzieliście kiedy, szlachetni panowie, umarłe kamienie?

<sup>79</sup>włosienica — szorstka szata pokutna. [przypis edytorski]

Nie przez próżną ciekawość was pytam. Chcę was przestrzec, abyście nigdy kamieni takich do życia przywracać nie pragnęli. Nade wszystko chcę wam jednak poradzić, abyście zasłyszawszy o człowieku, który kamienie takie uzdrawia, nie ufali mu i starali się omijać dom jego, nie spotykać się z nim na żadnej drodze w dzień ani w nocy...

Posłuchajcie tej opowieści, a przekonacie się, że rady moje są słuszne i mądre, i wiele rzeczy ukrytych — jasnymi i zrozumiałymi się dla was stanie.

Posłuchajcie tej opowieści o zdarzeniu strasznym i tajemniczym. A działo się to na dworze króla Zygmunta, niedługo potem, jak Gotfryd dowództwo drużyny zamkowej objął.

\*

Oprowadziwszy Gotfryda po całym zamku i murach obronnych, i basztach i pokazawszy mu lochy jego podziemne i skrytki przeróżne, rzekł do niego król:

— Oto obejrzałeś już, mój synu, wszystko oprócz skarbcza, zejdźmy tam tedy, bo powinienś go znać, jako że odtąd czuwać nad nim będziesz.

Zeszli więc w dół, a przed nimi pachółkowie świecąc pochodniami.

Rozstąpili się na widok króla strażnicy, przejście mu czyniąc, ale Gotfrydowi drogę halabardami<sup>80</sup> zagrozdili. Ozwał się więc król:

— Ten rycerz, Gotfrydem Zwycięzcą zwany, jest odtąd waszym dowódcą i winniście mu posłuszeństwo, jakoby mnie samemu.

To rzekłszy złoty klucz Gotfrydowi podał i kazał mu wobec straży odrzwia skarbcza otworzyć na znak, że mu odtąd to prawo z królewskiego upoważnienia na zawsze przysługuje. Po czym weszli obaj do podziemnych komnat skarbcza.

Dziwował się Gotfryd wielce ogromnym skrzyniom, po brzegi srebrem, złotem i drogimi kamieniami napelnionym, i zbrojom przeróżnym, misternie ze szlachetnych kruszców kutym, i szatom ze srebrnej i złotej lamy, haftami od klejnotów błyszczącymi zdobnym, futrom drogocennym z Dalekiej Północy i kobiercom miękkim i wzorzystym ze Wschodu.

Ale dziwując się nie zapomniał baczenie wokoło się rozglądać, jak biegną komnaty i korytarze, gdzie leżą skrytki i tajne przejścia i jak się rozkwierają. Toteż chwalił bardzo jego roztropność król i radował się w duszy, że tak dobrego wyboru dokonał Gotfryda dowódcą mianując.

Kiedy więc tak z komnaty do komnaty razem przechodzili, zatrzymał się nagle Gotfryd i ścianie jednej baczenie przyglądać się zaczął. Zdziwił się król i zapytał go:

— Powiedz mi, Gotfrydzie, dlaczego się temu staremu murowi z taką uwagą przypatrujesz? Toć żadnego z moich najpiękniejszych klejnotów nie podziwiałeś tak długo!

— Najjaśniejszy Panie! — odparł Gotfryd. — Czy nie widzisz, że wzdłuż tego muru biegną pęknięcia tak proste i wyraźne, jakby umyślnie były zrobione, i że tworzą one rysunek drzwi?

— Wiele jest takich szpar w murach mego zamku, które są bardzo stare i tworzą nieraz najdziwniejsze rysunki — rzekł wzruszając ramionami król.

Ale Gotfryd podszedł do ściany i położywszy ręce na owych drzwiach na niej naznaczonych pchnął je mocno.

I nagle ściana roztworzyła się, ukazując ciemny korytarz w głąb podziemi wiodący.

— Gotfrydzie! — zawołał zdumiony król. — Odkryłeś tajemne przejście, o którym nie tylko ja, ale ani ojciec mój, ani dziad nie wiedzieli. Zaprawdę, nic nie może zostać ukryte dla twych oczu! — I począł spuszczać się w dół po wykutych w kamieniu stopniach, a za nim Gotfryd. Tak doszli aż do żelaznych, na mocne rygle zamkniętych, drzwi, a gdy je roztworzyli, znaleźli się w niewielkiej, nisko sklepionej, ciemnej izbie, pośrodku której stała ogromna skrzynia z brązu.

— Zapewne — rzekł król — znajdziemy w niej najcenniejsze klejnoty skarbcza, skoro dziad mój czy pradziad tak głęboko i sztucznie<sup>81</sup> ją ukrył!

skarbc

<sup>80</sup>halabarda — broń kłująca na długim drzewcu. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>sztucznie (daw.) — tu: sprytnie, przemyślnie. [przypis edytorski]

Wszelako gdy Gotfryd podniósł ciężkie wieko skrzyni, znaleziono w niej tylko trzy naszyjniki: jeden z pereł, drugi ze szmaragdów, trzeci z rubinów. Prawda, że bardzo pięknej roboty były te naszyjniki i kamienie w nich były niezwyklej wielkości, ale cóż z tego, kiedy wszystkie utraciły blask swój i barwę, były bowiem to kamienie od dawna umarłe.

Król Zygmunt jednak przyglądał im się z radością i zachwytem.

— Oto są — powiedział — klejnoty godne mej córki, księżniczki Roksany! Każ, Gotfrydzie, by zanesiono je memu alchemikowi<sup>82</sup>, on przywróci im blaski, które utraciły.

Alchemik jednak wysłuchawszy woli królewskiej odparł:

— Nie mogę wrócić życia tym kamieniom. Nie w mojej to jest mocy, tak jak nie w mojej mocy jest wskrzeszać umarłych.

I oto stała się rzecz dziwna. Król Zygmunt, który zwykle niewiele troszczył się o klejnoty, zapalał nagłym nieprzepartym pragnieniem posiadania tych kamieni żywych, lśniących barwami tęczy, cudownie pięknych!

Wszystkie inne sprawy przestały go zajmować. Nie wyjeżdżał już na łowy, nie budował zamków obronnych, nie czynił wypraw wojennych, nie ucztował ze swymi rycerzami.

Na wszystkie strony świata rozsyłał gońców i kazał im wielkie nagrody temu, kto by się podjął umarłe kamienie uzdrowić, obiecywać. Poleciał również kupców, którzy przyjeżdżali z zamorskich krain, zatrzymywać i na zamek prosić i długo ich wypytywał, czy o takim mędrцу nie słyszeli.

Ale na próżno.

I coraz większy smutek i przygnębienie ogarniały króla. Daremnie wierni poddani, chcąc rozweselić serce jego, najpiękniejsze mu znosili klejnoty. Król pragnął jeno tych, które umarły. Ta dziwaczna zaś i niezrozumiała żądza rosła w nim z dnia na dzień, aż wreszcie doszło do tego, że król Zygmunt, znany ze swej pobożności i cnót chrześcijańskich, rzekł raz do Gotfryda w obecności wszystkich rycerzy:

— Próżne są twoje starania, by mnie pocieszyć, Gotfrydzie! Czuję, że jeżeli nie uda mi się kamieni tych ożywić, umrę z żalu. Gdyby sam zły duch przyrzekł mi je uzdrowić, przyjąłbym bez wahania jego pomoc!

Ach, cóż za nierozsądne i lekkomyślne słowa! I jak prędko miał je biedny król odpokutować!

Tej samej nocy jeszcze zerwała się nad zamkiem taka burza, że nikt nie udał się na spoczynek.

Służba zebrała się w izbach czeladnych<sup>83</sup>, panny dworskie w komnatach księżniczki Roksany, a rycerze w wielkiej sali zamkowej i każdy skracał sobie czas, jak umiał — wiadomo, że w gromadzie różniej bywa niż samemu.

Król Zygmunt siedział przed olbrzymim ogniskiem, które na kominku rozpalono, w głębokiej i ponurej zadumie pogrążony.

Nie zabawiał się on kielichem, jak większość jego rycerzy, nie przyglądał się grze w kości, nie słuchał opowiadań i baśni, którymi pieśniarz serca rycerzy rozweselał. W tej wielkiej gwarnej sali zdawał się on być zupełnie samotny.

A burza srożyła się ciągle i godzina płynęła za godziną. Aż coś około północy usłyszano nagle głos rogu, potem wołanie jakiegoś, jak gdyby ktoś starał się wycie wichru i łoskot grzmotów przekrzyknąć, a potem dźwięk łańcuchów mostu zwodzonego, który widocznie straż zamkowa spuszczała.

Zadziwili się bardzo rycerze. Któż to mógł o tej porze i w taką burzę do zamku przybywać? I jakiś nieokreślony niepokój ogarnął wszystkich.

Jakoż po niedługiej chwili wszedł do sali paż dziwnie blade i zmieszany i pokłoniwszy się królowi w te się słowa odezwał:

— Miłościwy panie! Człek jakiś, uzdrowiaczem umarłych kamieni się mieniący<sup>84</sup>, stanąć pragnie przed twoim obliczem. Myślę jednak, że należałoby go bez zwłoki stąd odprawić i nakazać straży, aby nie wpuszczała go nigdy więcej!

Ale król Zygmunt nie zwrócił uwagi ani na błądliwość paza, ani na jego słowa.

— Proś go tu natychmiast! — zawołał i z niezwykłą żywością powstał z fotela, jak gdyby sam chciał podążyć na spotkanie nieznajomego.

<sup>82</sup>alchemik — średniowieczny uczyony poszukujący sposobu otrzymania złota. [przypis autorski]

<sup>83</sup>izba czeladna — w dawnych dworach pomieszczenie dla służby. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>mienić się — nazywać siebie kimś. [przypis edytorski]

Paź wahał się jeszcze i chciał widocznie coś powiedzieć, ale widząc niecierpliwość królewską wyszedł i niebawem powrócił z przybyszem.

Zaledwie jednak wszedł ów przybysz do sali, gdy wszyscy poczuli, jak nieokreślony niepokój, który ich trapił, w lęk dziwny i nieprzewyciężony się zamienia.

Na pozór był to wysoki, siwy starzec, o postaci poważnej, a nawet szanownej. W ruchach jego było jednak coś szczególnego, coś, co przypominało skradającego się zwierza. A oczy jego? Czyż nie były oczyma czającego się tygrysa? Dziwne, zielone oczy bez źrenic i białek, oczy przypominające zielone latarki, w których głębi paliły się dwa czerwone płomyczki.

Król Zygmunt jednak zdawał się niczego nie spostrzegać i witał przybysza serdecznie i radośnie, jakby gościa długo oczekiwanego.

— Tyś jest uzdrowiaczem umarłych kamieni? — zapytał, usiąść mu obok siebie rozkazawszy.

— Tak, najjaśniejszy panie! — odparł nieznajomy. — Zasłyszałem, że posiadasz kamienie, które ożywić pragniesz, i oto jestem na twoje usługi!

— Mistrzu! — zawołał uradowany król. — Jeśli naprawdę uczynić to zdołasz, to nie ma rzeczy, której bym ci odmówił! Weźmiesz w nagrodę tyle srebra i złota, ile zażądasz, a nadto obdarzę cię moją przyjaźnią i łaską królewską!

Tak mówił, a nieznajomy kłaniał się pokornie i dziękował, ale uśmiechał się przy tym tak złośliwie i szyderczo, że w Gotfrydzie gniew aż kipiał. Król Zygmunt jednak nie widział czy też nie chciał widzieć tego i rozkazawszy oddać przybyszowi klejnoty pożegnał się z nim bardzo łaskawie.

Upłynęło od tego czasu coś trzy dni.

I znowu o północy ktoś do bramy zamku zapukał. Tym razem jednak nie był to uzdrowiacz umarłych kamieni, ale jego sługa, mały, czarny karzeł. Odnosił on królowi naszyjniki. A gdy otworzył król niewielką skrzyneczkę z brązu, w której były złożone owe klejnoty, okrzyk radości i zachwytu wyrwał się z jego piersi. Bo też nikt chyba nie widział jeszcze tak cudownie pięknych kamieni!

Zieleń szmaragdów miała jakieś osobliwe, głębokie i przezroczyście tony.

Perły mieniły się bladoróżowym i złotym światłem jutrzeńki<sup>85</sup>.

Rubiny płonęły gorącą purpurą ognia.

Kazał więc król dać karłowi wór pełen złota, a przywoławszy księżniczkę Roksanę podarował jej naszyjniki polecając, by zawsze jeden z nich nosiła.

Nazajutrz jednak księżniczka Roksana wyszła ze swej komnaty bardzo blada i smutna.

— Ojcie mój i królu — powiedziała — nie chcę nosić tych klejnotów! Każ je zabrać skarbnikowi. Miałam dziś w nocy dziwny sen. Śniło mi się, że szmaragdy mego naszyjnika poczynają z wolna poruszać się niby żywe i jedne o drugie uderzają, i taką wydzwanianą piosenkę:

Ma zieleń nasza, ma zieleń nasza

Ton jasny, przezroczy,

Bo takie są przecież, bo takie są przecież

Rusałek oczy...

Po czym jedne za drugimi krążyć wkoło mnie zaczynają, niby długi, zielony wąż, i coraz bliżej ku mnie przybliżają się, opasując szyję moją i piersi śliskim i zimnym splotem... Obudziłam się drżąc cała, słaba i prawie chora.

Tak opowiadała księżniczka, ale król wzruszył ramionami.

— Sny bywają nieraz bardzo dziwaczne! — rzekł. — Ale to nie powód jeszcze, abyś wyrzekała się tak pięknych klejnotów!

I rozkazał swoim truwerom<sup>86</sup>, aby zabawili księżniczkę wesołymi pieśniami.

Na drugi dzień wszakże<sup>87</sup> księżniczka wstała z łoża smutniejsza jeszcze i bledsza.

<sup>85</sup>jutrzenka (poet.) — świt, zorza poranna. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>truwer — śpiewak, poeta nadworny. [przypis autorski]

<sup>87</sup>wszakże (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

— Ojczy mój! — rzekła. — Miałam dziś sen dziwniejszy jeszcze od poprzedniego! Śniło mi się, że perły mego naszyjnika krążyć zaczynają nad moją głową, niby rój różanozłotych świętojańskich robaczek, i taką wydzwanają piosenkę:

Mienimy się barwą, mienimy się barwą  
Różaną i złotą,  
Nie darmo pojone, nie darmo karmione  
Ruszałek tęsknotą...

A piosenka ta tak była rzewna i żalonna, że gdy obudziłam się, wezglowie mego łoża mokre było od łez. Nie, nie włożę więcej tych klejnotów!

— Sny bywają czasem smutne, a czasem wesołe, Roksano — uśmiechnął się król — ale nie powinnaś myśleć o nich, skoro już pierzchły. Sen jest jak mgła jesienna, a któż myśli o szarych dniach, gdy świeci słońce?

I, by rozweselić księżniczkę, kazał czynić przygotowania do wielkiej uczty.

Następnego dnia jednak księżniczka Roksana nie podniosła się wcale z łoża, zatrwożeni lekarze na próżno próbowali przywrócić jej siły. Sen, który nawiedził ją tej nocy, tak ją przeraził, że zapadła ciężko na zdrowiu. Śniło się jej, że rubiny jej naszyjnika unoszą się poczynają w górę, coraz gorętszym, coraz mocniejszym blaskiem się mieniając, a później ciężko opadają niby wielkie purpurowe krople krwi i jedne o drugie uderzają, i taką wydzwanają piosenkę:

Purpurą i ogniem, purpurą i ogniem  
Kamienie się mienia,  
Nie na darmo pojone, nie na darmo karmione  
Krwi młodej czerwienią...

I wtedy szmaragdy i perły wraz z nimi unosić się i opadać, i krążyć poczynają, i tańczą jakiś dziwny taniec, i wydzwanają dziką i straszną, i żalonną melodię, to jak płacz, to jak śmiech brzmiąca.

Teraz dopiero król Zygmunt zasmucił się i przestraszył bardzo, ale mimo że kazał zabrać klejnoty do skarbcza, dziwne sny nie tylko nie przestały dręczyć księżniczki, ale nawiedzać poczęły króla i jego rycerzy.

Nocą zdawało się wszystkim, że słyszą na schodach ze skarbcza wiodących ciche dzwonienie: to kamienie długim tęczowym korowodem wychodziły z podziemi i biegły w górę, do komnat królewskich.

Przeżony i zgnębiony król kazał klejnoty owe zamknąć w żelaznej skrzyni i rzucić w pobliskie jezioro.

Ale, szlachetni panowie, nie tak łatwo pozbyć się było owych zaklętych kamieni...

Tej samej nocy jeszcze rybacy znad jeziora usłyszeli dziwne dzwoneczki.

To pewnie panny wodne<sup>88</sup> swe kozy na przybrzeżne łąki pędzą — pomyśleli i zdjęci ciekawością wychylili się ostrożnie z chaty, by się owemu wodnemu bydelku przypatrzeć. Nie były to jednak kozy wodne.

To zaczarowane kamienie wychodziły z głębi jeziora i lśniącymi cudownymi barwami wężem do zamku królewskiego biegły...

Cały zamek opanowała taka trwoga, że gdy tylko zmrok zapadł, nikt nie śmiał sam w ciemnej komnacie zostać, a strażnicy pełniący warty chronili się do izb czeladnych, byle szmer zasłyszawszy.

Próżno Gotfryd starał się dodać im otuchy. Próżno gniewał się lub zawstydział. Najdzielniejsi żołnierze odpowiadali mu, że gotowi zawsze stawić czoło nieprzyjacielowi, ale nie czarom i złym duchom.

Najbardziej jednak ze wszystkich cierpiała księżniczka Roksana, ją bowiem najczęściej i najuparciej nawiedzały złe sny. Toteż choroba jej zatrważające czyniła postępy, a lekarze obawiać się już o jej życie poczęli.

<sup>88</sup>panna wodna (mit.) — rusalka, nimfa wodna rzucająca czar na podróżnych. [przypis edytorski]



Biedny król całe dni spędzał u łóża ukochanego dziecka, na którego głowę sam takie nieszczęście ściągnął, a Gotfryd widząc, jak ponad wszystko umiłowana dziewczeczka z dnia na dzień słabsza się staje i bledsza, bezsilnie ścisnął pięści, nie wiedząc, jak ją ratować.

Aż pewnej nocy przypomniał sobie nagle, iż mówiono wśród służby zamkowej, że karzeł przez uzdrowiacza umarłych kamieni z klejnotami przysłany nie mógł sam wora ze złotem, którym go król obdarzył, dźwignąć i poprosił, by mu dano do pomocy pachołka. Pachołek ten więc musiał wiedzieć, gdzie uzdrowiacz umarłych kamieni mieszka. Któż zaś, jeśli nie czarnoksiężnik ten, rzucił złowrogie zaklęcie na królewskie klejnoty? Nie tracąc więc chwili czasu podniósł się Gotfryd z łóża, kazał giermkowi podać sobie miecz i zbroję, osiodłać konia i przywołać owego pachołka, który miał mu służyć za przewodnika.

\*

Dom uzdrowiacza umarłych kamieni stał daleko za miastem, w zupełnym pustkowiu, wysokim murem otoczony. Na próżno jednak Gotfryd szukał w murze tym furty jakowejś, do której mógłby zapukać. Nie było w nim żadnej bramy ni żadnego wyłomu. Zupełnie jak gdyby nikt tu nie wchodził i stąd nie wychodził.

— Czy nie widziałeś, którędy dostał się do wnętrza karzeł? — zapytał pachołka Gotfryd.

— Nie, panie! — odparł pachołek — Gdy tylko doszliśmy do muru, dał mi on złotą monetę i kazał mi iść precz, co uczyniłem bardzo chętnie, gdyż prawdę powiedziawszy ten mały czarny diabeł podobał mi się jeszcze mniej od swego pana i byłem szczęśliwy, gdy się znalazł żywy i cały w zamku.

Widocznie mur ten otwierał się tylko na głos zaklęcia — pomyślał Gotfryd. — Ale jest to przeszkoda zbyt drobna, aby mogła mnie zatrzymać!

I niewiele myśląc przywiązał konia do drzewa, a sam począł piąć się po murze w górę, czepiając się to wystających gdzieniegdzie cegieł, to dzikich pnączy, które go pokrywały. Że zaś nie darmo wspinał się niegdyś z pastuszkami na niedostępne skały i urwiska, więc nie minęło kilka pacierzy, a był już na szczycie muru.

Noc była jasna, choć czasem chmury przesłaniały księżyc, toteż Gotfryd mógł widzieć wyraźnie z tej wysokości dom czarnoksiężnika i dziki, zapuszczony ogród, który go otaczał. A dziwny to był dom! Cały z czarnego granitu, bez okien i drzwi, zdawał się być raczej wielką, gładko ociosaną bryłą niż czymś pomieszczeniem.

Nagle, wśród głębokiej ciszy nocnej, której nie mącił nawet szmer poruszanych wiatrem liści, usłyszał Gotfryd dolatujący go aż gdzieś z głębi ogrodu jakiś szczególny dźwięk. Był to niby szum morza, niby cichy płacz, niby dalekie zawrozczenie wichru.

Gotfryd uchwycił się gałęzi wielkiej, tuż pod murem rosnącej, sosny, spuścił się po niej na dół i podążył w stronę, skąd go ów dźwięk dochodził. Niedługo szukał. Nie uszedł jeszcze kilku kroków, gdy ujrzał na murawie wśród drzew młodą dziewczynę, która płakała tym dziwnym, przejmującym płaczem. Długie zielone włosy okrywały ją niby płaszczem, a wielkie łzy spływały między palcami drobnych, białych rączek, którymi zasłaniała twarz.

— Ktoś ty jest i czy mogę ci przyjść z pomocą? — zapytał Gotfryd.

Dziewczyna podniosła głowę i Gotfryd ujrzał, że oczy jej były zielone jak morze, twarzyczka przezroczysta jak alabaster, a całe ciało pokryte łuską błyszczących wszystkimi barwami tęczy drogich kamieni.

— Którędy tu wszedłeś, rycerzu?! — zawołała. — Uciekaj! Uciekaj stąd natychmiast, jeśli ci życie miłe! Za chwilę nadejdzie czarnoksiężnik, a wówczas będzie za późno!

— Nie jest to zaprawdę moim zwyczajem uchodzić przed wrogiem! — odparł uśmiechając się Gotfryd. — Powiedz mi raczej, kto cię skrzywdził, że płaczesz tak żałośnie, a bądź pewna, że potrafię cię obronić i nie ulęknię się żadnego nieprzyjaciela!

— Nieprzyjaciela? Być może, rycerzu, ale tu nie człowiek nadchodzi, jeno potwór bez klów i paszczy, potwór do olbrzymiego morskiego polipa<sup>89</sup> podobny, potwór, który obezwładnia każdego zielonym, czarodziejskim światłem swego oka, przyciąga i wchłania. Jeśli chcesz naprawdę mi pomóc, miast zginąć bezużyteczną i ohydłą śmiercią, to wejdź

<sup>89</sup>morski polip (biol.) — tu: forma morfologiczna parzydelkowca lub meduzy. [przypis edytorski]

co prędzej na drzewo, aby cię nie spostrzegł. Nie zapomnij jednak przywiązać się do niego mocno swym rycerskim pasem.

Gotfryd usłuchał jej rady. I zaledwie zdążył to uczynić, gdy ujrzał zbliżającego się uzdrowiacza umarłych kamieni, a za nim jego karła, który niósł ogromną żelazną skrzynię. Karzeł postawił skrzynię na ziemi, podniósł jej wieko i podał swemu panu niewielką, kryształową pałeczkę, którą czarnoksiężnik nakreślił wokół siebie szerokie koło, po czym rzekł do panienci o zielonych włosach:

— Córkę króla morza, córkę króla morza, czy chcesz dobrowolnie krwią swoją i tęsknotą, łzami karmić moje kamienie?

Dziewczyna podniosła się z ziemi i dumnie spojrzała na niego.

— Nie, nikczemny potworze! — odparła. — Nigdy królowna Liliana nie będzie ci pomagać w twoich przeklętych sztuczkach! Porwałeś mnie i możesz mi zabierać przemocą krew moją i łzy moje, ale nie uczynisz ze mnie posłusznej niewolnicy.

Zaledwie jednak wyrzekła te słowa, całe ciało czarnoksiężnika zaczęło tracić kształt i barwy i w końcu rozpląnęło się w wielką, galaretowatą masę o tysiącach wysuwających się i kurczących macek, masę, pośrodku której błyszczało tylko straszliwe oko, osobliwym zielonym światłem płonące.

I pod wpływem tego światła Gotfryd poczuł, że ogarnia go wielka niemoc i słabość, że niezdolny jest wydobyć miecza z pochwy, a jednocześnie jakaś niewyciężona siła pcha go ku owemu potworowi. Gdyby nie przywiązał się pasem do drzewa, niechybnie zszedłby z niego i zginął marnie.

Tymczasem potwór patrzył na dziewczynę, która pod wpływem niemego rozkazu jego wzroku powoli uniosła ręce w górę i stanęła jak posąg nieruchomy.

A wtedy kamienie, które otaczały sznur przy sznurze całe jej ciało, opadły z niej i mieniącym się tysiącem barw węzłem do skrzyni powracać poczęły, gdy ze skrzyni drugi wąż drogich kamieni, tylko bez blasku i bez barwy, pełzać ku niej począł i opasywać ją z wolna.

Gotfryd zamknął oczy, aby nie patrzeć, a gdy roztworzył je — ani uzdrowiacza umarłych kamieni, ani karła już nie było.

Teraz dopiero powróciły mu siły i przytomność.

Odwiązał pas, ześliznął się z drzewa i wyjąwszy miecz biec chciał za nimi. Ale powstrzymał go głos rusalki:

— Co czynisz, szalony?! Czy nie widziałeś przed chwilą, że bezsilny jesteś wobec niego? Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to posłuchaj mej rady!

Gotfryd zatrzymał się, a zielonowłosa panienska zaczęła opowiadać:

— Jestem córką króla morza i nazywam się Liliana. Ten potwór czarnoksiężnik zwabił mnie razu pewnego na brzeg i porwał, aby moją krwią, łzami i tęsknotą karmić swoje kamienie. Patrz, jak topazy, szmaragdy, rubiny, perły i ametysty na ciele moim życia i blasku nabierać zaczynają. Nie mogę uciec stąd, choć nie jestem strzeżona, gdyż kamienie te siły wszystkie mi zabierają, a zdjąć je ze mnie może tylko zaklęcie czarnoksiężnika lub śmierć jego. Jeśli chcesz tedy pokonać go, to idź na brzeg morza i zawołaj trzy razy: „Królu morza! W imieniu córki twojej wzywam cię!” Wówczas ojciec mój ukaże ci się, a gdy opowiesz mu o moim nieszczęściu, da ci kwiat zaklętej algi. Jeśli zdołasz, Gotfrydzie, niepostrzeżenie do czarnoksiężnika podejść i dotknąć go tym kwiatem, to straci potwór ten swą moc czarnoksiężską i wtedy pokonać go możesz. Pomnij jednak, że jeśli usłyszy szelest twych kroków, zanim dotkniesz go czarodziejskim kwiatem — będziesz zgubiony. Czy nie lękasz się?

Gotfryd nie odpowiedział jej nawet. Wspiął się na mur, spuścił się z niego na dół, dosiadł konia i pojechał w stronę morza.

Dwa dni i dwie noce jechał Gotfryd, zatrzymując się tylko z rzadka, by dać wytchnąć koniowi i posilić się nieco, aż trzeciego dnia stanął na brzegu morza. Morze dnia tego było spokojne i ciche, a wody jego zdawały się brać od nieba barwę błękitu. Ale gdy Gotfryd na złotym piasku stanąwszy po trzykroć króla morskiego wezwał, zerwał się nagle wiatr, niebo zachmurzyło się, pozieleniały i zapieniały się fale.

Zamiast jednak, jak zwykle przed burzą, z groźnym pomrukiem w górę się wznosić, napastliwie o brzeg uderzać i znowu się cofać, w wielkiego węża o srebrzystej grzywie się skręciły, a wąż ten głowę, na której złota błyszczała korona, w górę unosząc, tak Gotfryda zapytał:

Wąż

Morze

— Czego żądasz, ty, który w imieniu mojej córki mnie wezwałeś, i jakie mi od niej przynosisz wieści?

— Żądam kwiatu zakłętej algi — odparł Gotfryd — a wieści smutne ci od niej przynoszę: Więzi ją potwór okrutny, uzdrowiaczem umarłych kamieni się mieniący. Nie rozpaczaj jednak, królu morza. Da Bóg, że przy pomocy owego cudownego kwiatu oswobodzić mi się ją uda.

Gwizdnął przeciągle król morza.

A na to gwizdnięcie wychyliła się z wody rusalka w wieńcu z gwiazd morskich na głowie i pokłoniwszy się królowi zapytała:

Królu mój i wodny panie!

Oto jestem na żądanie!

Czy na okręty mam rzucić zakłęcie?

Czy pereł szukać w zielonym odmęcie<sup>90</sup>?

Czy muszel barwnych przynieść ci z oddali?

Czy z wodorostów wieniec lub z koralii?

A odparł jej król:

W ogrodzie moim, przez węże strzeżony,

Rośnie kwiat dziwny, od innych odmienny.

Przynieś, rusalko, kwiat zakłętej algi.

Kwiat, co zabija — morza cud płomienny!

Znikła w falach morskich rusalka i po chwili wynurzyła się znowu, trzymając w ręku czarodziejski kwiat, od którego blaski szły przedziwne, ogniste i purpurowe.

I zaledwie Gotfryd wziął go do ręki, niebo wypogodziło się, wiatr ucichł, morze poblekitniało, a król morski i rusalka zniknęli bez śladu. Dosiadł więc Gotfryd swego rumaka i w powrotną drogę wyruszył.

Noc była znowu głęboka, gdy przed murem dom czarnoksiężnika otaczającym zatrzymał się i tak jak poprzednio do ogrodu się dostał. Radośnie, choć blada i trwożna, powitała swego zbawcę królowna Liliana.

— W sam czas przybywasz, Gotfrydzie! — rzekła. — Czarnoksiężnik uczy teraz swe kamienie zakłętego tańca, którym dręczą one później ludzi. Jest on zwykle tak pochłonięty tym zajęciem, że nie zwraca uwagi na to, co się wkoło niego dzieje, i najłatwiej ci będzie podejść do niego niepostrzeżenie. Znajduje się on w domu swym, którego ściany rozsuna się przed tobą, gdy tylko dotkniesz ich czarodziejskim kwiatem. Idź tedy, niech ci Bóg szczęści w tej walce!

Wyjął miecz swój Gotfryd i do domu podszedłszy ściany jego kwiatem algi dotknął. Ściana rozsunała się przed nim cicho i bezszelestnie i Gotfryd wszedł do wnętrza.

Minąwszy sal kilka, czerwonym światłem, nie wiadomo skąd płynącym, oświetlonych, o ścianach w dziwaczne arabeski<sup>91</sup> ze znaków czarnoksiężskich malowanych, znalazł się wreszcie Gotfryd w sali, z której już z daleka dolatywał go dźwięk fletu. Na środku owej sali paliło się ognisko, którego płomień to purpurowy, to zielony, to żółty, to fioletowy się stawał. W jego migotliwym świetle ujrzał Gotfryd czarnego karła, który z podwinętymi nogami przy nim siedząc, na małym złotym fleciku wygrywał. Za nim stał czarnoksiężnik z kryształową pałeczką, którą już Gotfryd w ogrodzie raz widział, w dłoni i dziwne jakieś wykonywał znaki.

W takt to tych znaków właśnie zdawała się dźwięczeć muzyka karła i w takt tych znaków podnosiły się ze skrzyń pod ścianami stojących, niby snopy kolorowych iskieł, drogie kamienie i opadały w nie znowu, dzwoniąc cicho. A był on tak pochłonięty tym zajęciem, że, jak przepowiedziała królowna, nie spostrzegł wejścia Gotfryda i obrócił się dopiero wtedy, gdy Gotfryd kwiatem algi go dotknął.

Zaryczał z wściekłości potwór i miecz swój z pochwy wyrwawszy na Gotfryda się rzucił. Ale nie było jeszcze takiego rycerza, który by „Zwycięzcę” pokonał. I nie minęło kilka pacierzy, a uzdrowiacz umarłych kamieni martwy u stóp wroga leżał.

<sup>90</sup>odmęt — wzburzona, głęboka woda [przypis edytorski]

<sup>91</sup>arabeska — symetryczny ornament roślinno-geometryczny. [przypis edytorski]

Wybiegł do ogrodu Gotfryd, by królownie morskiej radosną nowinę zwiastować, aliści zastał ją od czaru okrutnego uwolnioną.

— Gotfrydzie — zawołała. — Wiedz, że masz odtąd we mnie i w ojcu mym przyjaciół najwierniejszych; weź ten pierścień na pamiątkę od morskiej królowiny.

Pożegnał się z nią Gotfryd i do zamku podążył, gdzie go już uzdrowiona księżniczka i dwór cały niecierpliwie oczekiwał.

A nie wiedział wcale, że pierścień, który od królowiny otrzymał, dawał mu władzę tajemną nad morzem.

## WRÓŻKA WIWIANA OBDARZY GO AMETYSTEM MOC CU- DOWNĄ I TAJEMNICZĄ MAJĄCYM...

### *O księciu Gotfrydzie opowieść dziesiąta*

Było starym obyczajem na dworze króla Zygmunta, że rycerze, zabawiając się przy kielichach, wdzięki swych dam chwalili i że każdy z nich opowiadał, jakich czynów na cześć pani swej dokonać byłby gotów.

Była to zabawa bardzo przez rycerzy lubiana i każdy z nich starał się towarzysza w przechwałkach prześcignąć.

I tym razem, szlachetni panowie, bawiono się bardzo wesoło i żaden rycerz nie chciał ustąpić drugiemu w rycerskim animuszu<sup>92</sup> i fantazji.

Rzekł tedy hrabia Artur, „Zapalczywym” zwany:

— Piękna, najpiękniejsza ze wszystkich dam jest pani moja, Blanka o promiennych oczach, i na jej cześć gotów jestem wyzwać i pokonać siedmiu rycerzy, nie po kolei, a jednocześnie ze wszystkimi walcząc.

— Niewielki zaprawdę byłby to czyn, zbyt mały, by uczcić panią moją, Jolanę o srebrnym głosie i białych dłoniach — rzekł na to zaraz Jan, rycerz młody i pełen dworności, dla wdzięcznej swej postaci „Pięknym” zwany. — Co do mnie, to gotów jestem, by uczcić mą panią, samotnie w łódeczce rybackiej przejechać przez zatokę Morskich Potworów, a wiadomo wam wszystkim, że w zatokę tę największy i najmocniejszy statek zapuścić się nie odważy. Co mówię! Gotów jestem przepłynąć ją, nie zważając ani na wiry, ani na głębie, ani na wodne potwory.

I tak przechwalali się jeden przez drugiego.

Jeden tylko Gotfryd milczał.

Zapytał go tedy król Zygmunt, który z dobrotliwym uśmiechem zabawie rycerzy się przysłuchiwał:

— No a ty, Gotfrydzie, jakiego czynu gotów byłbyś na cześć córki mej, księżniczki Roksany, dokonać?

— Myślę nad tym, najjaśniejszy panie — rzekł Gotfryd — ale doprawdy nie mogę znaleźć niczego, co godne by było złotowłosej pani mojej. Chyba że poszedłbym dla niej po zaklęty kwiat ametystu? Ale wydaje mi się, że i ten czyn byłby zbyt mały, by być jej godnym?

— Cóż to za zaklęty kwiat ametystu? — zapytał zdziwiony król. — Nigdy o takim nie słyszałem.

— Czy być może, królu? — rzekł Gotfryd. — A przecież kwiat ten rośnie na granicy twego państwa, na wysokiej górze, zwanej „Niedostępna”. Posadził go tam król gór i otoczył wieńcem olbrzymich ogni, których pilnuje córka jego, wróżka Wiwiana. Ten tylko rycerz zerwać go może, który bez lęku przez ogień ów przejdzie. Jeśli jednak zadrży mu choć na chwilę serce, gdy w płomienie będzie wstępował, spalą go one na popiół.

— Słyszałem i ja o tym kwiecie — rzekł stary burgrabia zamkowy. — Pręciki jego są złote, płatki mają barwę i przejrzystość ametystu, a liście mieniają się wszystkimi barwami tęczy. Kwiat ten ma nadto moc czarodziejską i ten, który go posiada, rozumie mowę kwiatów, drzew i ptaków: może jednym jego dotknięciem przywracać zdrowie chorym, czynić urodziwymi szpetnych i młodymi starców. Zaiste piękny to czyn obmyślił Gotfryd ku czci naszej księżniczki!

<sup>92</sup>animusz — zapał i odwaga. [przypis edytorski]

Ale Arnold z Trevilu, który nie mógł nigdy darować Gotfrydowi, że ten pacholęciem jeszcze będąc pokonał go w oczach króla i wszystkich rycerzy, przebrawszy swoim zwyczajem miarę w kielichach, roześmiał się grubiańsko i tak się z Gotfryda wyśmiewać począł:

— Prawdę rzekł burgrabia, że piękny obmyślił Gotfryd ku uczczeniu swej damy czyn. Choć prawdą jest i to, że łatwiej przy kielichu się przechwalać, niż uczynić to, co się obiecało!

Poblądł z gniewu Gotfryd, a król Zygmunt do Arnolda się odezwał:

— Nieprzystojne są, grafie Arnoldzie, twoje słowa i nierozumne wcale! Wiadomo wszystkim, że Gotfryd Zwycięzca nieustraszonego i niezłomnego jest serca. Toteż jeśli nawet przesadził nieco, ofiarowując córce mej czyn, którego żaden człowiek dokonać nie jest w stanie (któż bowiem nie zadrzy choć na chwilę wstępując w płomienie?), to uczynił to chcąc swą cześć i miłość dla niej pokazać. Zresztą i inni rycerze przechwalali się tu czynami, których dokonanie nie jest w ich mocy, i cała ta zabawa na przechwałkach polega.

Ale Arnold z Trevilu tak królowi odparł, z wielkiego dzbana miód złoty zapijając, choć, jak już rzekłem, dawno przebrał miarę:

— He! He! Miłościwy królu! Wiem ja to dobrze, że zabawa ta na przechwałkach polega, ale he! he! i dla przechwałek są pewne granice! Inaczej bowiem, dlaczegoż nie miałby rzec Gotfryd: „Wyrwę najwyższą sosnę, która rośnie w ogrodzie zamkowym, zegnę ją na końcu w hak, postawię dwie góry jedną na drugiej i wszedłszy na nie zdejmę owym drągiem księżyc z nieba i księżniczce go ofiaruję. Będzie go sobie jako medalion<sup>93</sup> na złotym łańcuchu nosiła... He! He! To byłby dopiero czyn godny księżniczki Roksany!...”

Nie mogli się powstrzymać od śmiechu rycerze i sam król roześmiał się nawet, ale Gotfryd, do drwinek i żartów z siebie nie przywykły, gniewem wielkim zakopiał i od stołu powstając rzekł:

— Mylisz się, grafie Arnoldzie, za próżną przechwałkę słowa moje biorąc! Mylisz się! Wiedz bowiem, że wyruszam natychmiast na Górę Niedostępną i albo zginę, albo przyniosę księżniczce cudowny kwiat ametystu!

Przestraszył się król widząc, że sprawa zły obrót przybiera, i powiedział:

— Nierozsądnie chcesz sobie postąpić, Gotfrydzie, dla próżnej chwalby<sup>94</sup> życie swe narażając. Co innego bowiem jest w obronie uciśnionego głowy nadstawić, a co innego dla nierozumnej przechwałki.

I byłby Gotfryd uspokoił się i zamiaru swego zaniechał, gdyż czuł w głębi serca słusność słów królewskich, gdyby Arnold z Trevilu tak się nie odezwał:

— Pozwól mi, najjaśniejszy panie, na ową górę jechać, a niech nie zapomni wziąć ze sobą sosny, to może za jednym zamachem he! he! księżyc przywiezie!

Nie pomogły już teraz żadne prośby ani perswazje<sup>95</sup> królewskie. Gotfryd nikogo słuchać nie chciał, a w końcu chcąc kres położyć próżnym gawędom rzekł:

— Klnę się rycerskim słowem, że dziś jeszcze z zamku wyruszę i jeśli nie zginę, kwiat ametystu księżniczce przywiozę!

Tedy nie mógł już nikt mu się sprzeciwić, bo słowo rycerskie rzecz święta i kto go nie zdzierży, na wzgardę i śmiech podać się musi. Pożegnał się Gotfryd z królem i jego rycerzami, a król Zygmunt głowę jego do piersi przytulając rzekł:

— Wiesz o tym, że myślałem już od dawna córkę moją za żonę ci dać i następcą po sobie uczynić. Jeśli tedy żyw powrócisz, w zamian za kwiat ametystu rękę księżniczki otrzymasz.

Uradował się bardzo Gotfryd i zawołał:

— Królu miłościwy! Choćby niejednym, ale stu kręgami ognia kwiat ów był otoczony, żyw i cały powrócę. Jakżeby bowiem zadrzeć miało mi serce, gdy wiem, że taką otrzymam nagrodę?

I z pośpiechem wielkim w drogę się puściwszy w niedługim czasie u stóp Góry Niedostępanej się znalazł.

<sup>93</sup>medalion — ozdobne, owalne pudełeczko z miniaturą lub inną pamiątką w środku. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>chwalba (daw.) — przechwalanie się. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>perswazja — przekonywanie z przytoczeniem odpowiednich argumentów. [przypis edytorski]

Śmiało i wesoło wspinał się na nią Gotfryd, o niedalekiej przyszłości, gdy jako zwycięzca do zamku powróciwszy rękę ukochanej otrzyma, rozmyślając.

Śmiało i wesoło wieniec płomieni straszliwych, co kwiat czarodziejski otaczały, wzrokiem objął — i bez drżenia w nie wstąpił.

Rozstąpiły się przed nim płomienie i Gotfryd ujrzał cudowny kwiat ametystu. W milczeniu i podziwie wielkim przyglądał się długą chwilę piękności jego rycerz, po czym rękę, by go zerwać, wyciągnął.

W tej samej jednak chwili poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia, i odwrócił się.

Za nim stała cudna pani, o oczach barwy ametystu, w lekkiej, powiewnej szacie, z tęczowymi skrzydłami u ramion, i patrzyła na niego błagalnie.

— Gotfrydzie! — rzekła. — Błagam cię, nie tykaj tego kwiatu! Kwiat ten jest kwiatem mego życia i ojciec mój dlatego go wieniec ognia otoczył, by mnie przed niebezpieczeństwem ochronić. Jeśli go zerwiesz, będę musiała umrzeć...

— Piękna pani! — odparł jej wzruszony Gotfryd. — Zaprawdę możesz być pewna, że nie tknę tego kwiatu. Powrócę, skąd przyjechałem, i ani król Zygmunt, ani księżniczka Roksana nie będą mi mieli za złe, że z niczym powróciłem, gdy to, com od ciebie usłyszał, im opowiem.

— Niestety, szlachetny rycerzu — rzekła królowa górską — jeśli im powiesz, z jakiej przyczyny nie zerwałeś tego kwiatu, będę musiała umrzeć, jak gdybyś go zerwał. Trzeba bowiem wiedzieć, że jeśli znajdzie się rycerz, któremu uda się przejść przez wieniec ognia, kwiat ametystu chroniący, nie wolno mi go prosić o łaskę i gdyby wróżka Merlina, królowa wszystkich wrózek, dowiedziała się, że to uczyniłam, musiałabym zginąć. Poświęcenie twe, Gotfrydzie, musi pozostać dla wszystkich tajemnicą. Powiedz królowi i Roksanie, żeś powrócił z niczym, gdyż wieniec ognia straszliwych ujrawszy nie odważyłeś się w nie wstąpić.

— Jak to! — zawołał Gotfryd. — Ja, rycerz, którego „Niezwyoczonym” i „Niezłomnym” zowią, mam się o tak nędzne tchórzostwo oskarżać? Ja — Gotfryd Zwycięzca, mam wobec całego rycerstwa wyznać, że słowo moje złamałem? Toż stałbym się na zawsze wszystkich rycerzy pośmiewiskiem! Czyż nie rozumiesz, Wiwiano, że nie mogę tego uczynić?!

— To prawda — odparła cicho Wiwiana — nie możesz tego uczynić. Cóż by się bowiem stało z twoją sławą rycerską? Nie, nie mam prawa od ciebie żądać takiego poświęcenia! Zerwij zatem kwiat, który zdobyłeś. Widzę, że muszę umrzeć.

Ale Gotfryd stał cichy i nieruchomy, głęboko nad czymś rozmyślając.

— Nie, Wiwiano! — rzekł wreszcie. — Nie zerwę tego kwiatu. Gdybym go zerwał, popełniłbym czyn podły, prawego rycerza niegodny!

— Jeśli go jednak nie popełnisz — rzekła wróżka — wszyscy cię podłym mieni będą!

— Tak... — szepnął rycerz, ale natychmiast wyprostował się dumnie i dodał: — I cóż z tego, Wiwiano? Czyż ulęknę się drwin i śmiechów? Czyż dlatego, by miana tchórze uniknąć, stanę się nim rzeczywiście? Czyż dla próżnej przechwałki życie twoje poświęcę, zbrodnię ohydłą popełniając? Nie! Zaprawdę, nie uczynię tego!

— A Roksana? — zapytała królowa górską. — Cóż pomyśli o tobie Roksana?

— Roksana... — powtórzył Gotfryd. — Roksana... To prawda. Zapomniałem o niej! Roksana odwróci się ode mnie ze wzgardą jak od nędznego tchórze! Wiwiano! Wiwiano! Nie mogę tego czynić! Wolalibyśmy stokroć umrzeć, niż ją utracić!

— Widzisz więc sam, że mam słuszność, Gotfrydzie. Nie wahaj się dłużej. Weź za ten kwiat pierścień księżniczki i bądź szczęśliwy! Ja sama zerwę go dla ciebie.

I wyciągnęła rękę po kwiat cudowny, ale Gotfryd dłoń jej zatrzymał.

— Nie mógłbym być szczęśliwy, Wiwiano — zawołał — wiedząc, że szczęście moje okupiłem śmiercią! Nie mógłbym nigdy spojrzeć w oczy Roksanie wiedząc, że zdobyłem ją za cenę zbrodni! Wolę, by Roksana pogardzała mną niesłusznie, niżby miała prawo mną pogardzać. Żegnaj, Wiwiano!

— Żegnaj, Gotfrydzie! — rzekła wróżka widząc, że postanowienie Gotfryda jest niezmiennie. — Nie zapomnę nigdy, że ocaliłeś mi życie. Weź ten pierścień królowy gór-

Poświęcenie, Honor

skiej, która cię kocha jak brata, i pamiętaj, że masz na zawsze we mnie siostrę i przyjaciółkę.

Wziął tedy z jej rąk Gotfryd złoty pierścień z ametystem, ale kładąc go na palec tak myślał:

Obym cię nigdy nie posiadał! Utraciłem bowiem przez ciebie pierścień stokroć droższy, pierścień, który dać mi miała ukochana pani moja, księżniczka Roksana!

Nie rzekł jednak głośno ani słowa, gdyż nie chciał ranić daremnymi skargami serca Wiwiany, i podziękowawszy jej za dar w drogę wyruszył.

Gdy straż na wieży zamku króla Zygmunta stojąca ujrzała zbliżającego się do zamku Gotfryda i dała o tym znać królowi i księżniczce, którzy w niepokoju i trwodze na niego oczekiwali, uradował się bardzo król i kazał się zebrać swoim wszystkim wasalom w wielkiej sali tronowej. Po czym, na tronie swym królewskim zasiadłszy, w te odezwał się słowa:

— Za chwilę przybędzie tu, szlachetni panowie, Gotfryd Zwycięzca, chcę więc, byśmy go godnie powitali i by w obecności nas wszystkich za cudowny kwiat, który zdobył, przez wieniec ogni straszliwych przechodząc, z rąk córki mojej wziął nagrodę!

— Nie wiadomo jeszcze, czy Gotfryd kwiat ametystu zdobył czy też z niczym do nas powraca! — mruknął Arnold z Trevilu.

Ale choć nie śmiało głośno słów tych wyrzec, usłyszało je kilku najbliższych stojących rycerzy i zgromiło go surowo:

— Gniew to i zazdrość zaślepiają cię, Arnoldzie, i takie dyktują ci słowa! Wiesz bowiem dobrze, że choć żaden z nas po kwiat ów nie wyruszyłby, to wyruszywszy i słowem rycerskim się związawszy, wołałby umrzeć, niż z niczym powrócić! Jak śmiesz więc Gotfryda Zwycięzcę o tak haniebne tchórzostwo podejrzewać.

Zawstydził się tedy Arnold i umilkł. A w tej chwili właśnie paziowie roztworzyli szerokie podwoje<sup>96</sup> sali tronowej i przed królem Zygmuntem i Roksana stanął Gotfryd.

Nie wszedł jednak dumnie i z podniesionym czołem, jak zwycięzcy przystoi. Smutny wszedł i błady z głową na piersi opuszczoną, oczu na króla i na księżniczkę, która go z twarzą rozjaśnioną witała, podnieść nie śmiejąc.

— Bądź pozdrowiony, Gotfrydzie! — rzekł król. — Bądź pozdrowiony, rycerzu Niezłomny i Nieustraszony! Widzę, że nie ma siły zdolnej cię pokonać, a serce twoje nie wie, co to lęk i trwoga! Ofiaruj córce mojej dar, który dla niej zdobyłeś, a ty, Roksano, pierścień swój zaręczynowy mu oddaj.

Tak mówił Zygmunt, ale Gotfryd stał dalej smutny i milczący, oczu na nikogo nie podnosząc, jak gdyby słów królewskich nie słyszał.

Zdziwił się król.

— Cóż to znaczy, Gotfrydzie? — zapytał. — Czy nie miła ci nagroda, która cię czeka? Czy może już nie kwitnie na Górze Niedostępnej zaklęty kwiat ametystu?

I odparł mu Gotfryd:

— Milsza mi ponad życie byłaby taka nagroda i po dawnemu kwitnie na Górze Niedostępnej zaklęty kwiat ametystu. Jeno nie zdobyłem kwiatu tego, królu, i nie mam prawa do pierścienia księżniczki Roksany.

Zdziwił się tedy jeszcze bardziej król Zygmunt.

— Cóż się więc stało, Gotfrydzie, że z niczym powracasz? Jakaż to powstrzymała cię przeszkoda?

Spuścił jeszcze niżej głowę Gotfryd, wahał się chwilę, jakby słowa, które miał wymówić, przez gardło mu przejść nie chciały, po czym głosem cichym odparł:

— Królu najjaśniejszy! Gdym ujrzał wieniec ogni ogromnych na Górze Niedostępnej, wokół zaklętego kwiatu płonących, zadrżało we mnie serce, poznałem, jak zuchwały był mój zamiar, i uląkwszy się śmierci straszliwej z niczym odjechałem...

W zdumieniu głębokim spoglądali po sobie rycerze.

— Czy dobrze słyszę? Czy to Gotfryd Zwycięzca wyrzekł te słowa haniebne, ust rycerza żadnego niegodne?

Gdyby ktoś inny je powiedział, wybuchłyby śmiechy i drwiny, dano by mu kądziel i wrzeczono i z grona rycerzy precz wygnano. Ale sława Gotfryda tak była wielka, że

<sup>96</sup>podwoje — okazałe, dwuskrzydłowe drzwi. [przypis edytorski]

wszyscy stali niemi i osłupiali, wstydem dziwnym zdjęci. Hańba tego najznakomitszego z ich grona rycerzy tak ich dotknęła, że zdawało się im, iż na całej drużyny spada ona głowy. Nawet Arnold z Trevilu drwić ani śmiać się nie odważając milczał posępnie, a król Zygmunt, którego czyn Gotfryda, nie tylko jako wodza drużyny jego rycerskiej, ale jako rycerza córki jego, księżniczki Roksany, podwójnie obrażał, ani słowem się nie odezwał. I w całej tej ogromnej i ludnej sali taka zapanowała cisza, że zdawać by się mogło, iż nie ma w niej nikogo.

Poblądł jeszcze bardziej Gotfryd, bo była ona cięższa niż śmiech i wyrazy potępienia, i poczuł się samotny i opuszczony, jak gdyby nie wśród towarzyszy, którzy mu wczoraj jeszcze przyjaciółmi byli, ale na pustyni jakowejś się znajdował.

Aliści nagle wśród ciszy grobowej głos się dźwięczny i silny córki królewskiej, księżniczki Roksany, odezwał:

— Zaprawdę, nie wierzę ci, Gotfrydzie!

Drgnęli wszyscy rycerze i oczy ku wzniesieniu, na którym obok tronu ojca swego siedziała księżniczka Roksana, podnieśli, a Gotfryd zadrżał cały i po raz pierwszy, od czasu jak przybył, w twarz ukochanej spojrzął.

I powtórzyła raz jeszcze księżniczka:

— Zaprawdę, nie wierzę ci! Nie wiem, dlaczego bez kwiatu ametystu tu powróciłeś, wiem jednak, że nie nędzne tchórzostwo było tego przyczyną. Nie żądam od ciebie, byś się z postępowania swego wytłumaczył, bo widzę, że tego uczynić nie możesz. Kocham cię i ufam ci, i pierścień mój należy do ciebie!

Postąpił ku księżniczce kilka kroków Gotfryd, do stóp jej się osunął i głowę na jej kolanach ukrywszy jak dziecko zapłakał.

I rzekła doń Roksana: — Małego serca są ludzie, co pierwszemu oskarżeniu na przyjaciela rzuconemu wierzą, choćby ono z własnych ust jego wyszło! Czyż nie byłeś ich towarzyszem w wyprawach niezliczonych, towarzyszem spośród wszystkich najwaleczniejszym? Czyż nie dokonałeś czynów tak sławnych, że żaden rycerz pochłubić się takimi może? A oto uwierzyli bez wahania w twą hańbę i potępili cię w sercu swoim.

I zawstydzili się bardzo rycerze. Jakżesz to mogli choć na chwilę Gotfryda o nikczemne tchórzostwo posądzić? Czyż nie powinni byli zrozumieć, że kryje się tu tajemnica, że pieczęć jakaś usta Gotfrydowi zamyka? Czy nie powinni byli oskarżenia, które na siebie rzucił, śmiechem powitać i towarzyszowi miłemu zaufać, o przyczynę niepowodzenia jego wyprawy nie pytając? Otoczyli go tedy kołem i w ramiona biorąc, i ręce mu ściskając o przyjaźni swej niezmiennej zapewniać zaczęli.

Nagle dziwne jakieś, tęczowe światło rozlało się po całej sali, a gdy zdumieni rycerze obrócili się, by zobaczyć, skąd idą te blaski cudowne, ujrzeli przed sobą złotowłosą panią, o oczach barwy ametystu, z tęczowymi skrzydłami u ramion i kwiatem zaklętym w dłoni.

— Nie chciałam, byś cierpiał zbyt długo, Gotfrydzie — rzekła pani owa z uśmiechem na Gotfryda i Roksane patrząc — i przybyłam towarzyszom twoim i księżniczce Roksanie o czynie twoim rycerskim opowiedzieć. Widzę wszakże, iż zbędne jest świadectwo wrózek temu, kto posiadał kochające i ufne serce księżniczki Roksany. Posłuchajcie mnie jednak, królu Zygmuncie, księżniczko i wy, szlachetni rycerze, gdyż chcę, by czyn Gotfryda wszystkim był znany i ku wiecznej służył rycerzom nauce. Jestem królową górską, a ojciec mój posadził na Górze Niedostępnej cudowny kwiat ametystu. Chciał on jednak, by kwiat ten nie tylko najmężniejszemu, ale i najszlachetniejszemu dostał się rycerzowi, i dlatego kazał mi rycerza, który by przez wieniec ognia z sercem nieustraszoną przeszedł, stokroć cięższej poddać próbie. Nie wroga żadnego, ale własną pychę i próżność miał on zwyciężyć. Powiedziałam więc Gotfrydowi, aby się przekonał, czy prawdziwie rycerską ma duszę, że kwiat ametystu jest kwiatem mego życia i że jeśli go zerwie, będę musiała umrzeć. Powiedziałam mu także, że jeśli o poświęceniu, które dla mnie uczynił, komukolwiek opowie, wówczas również śmierć mnie czeka niechybna, gdyż złamałam prawo czarodziejskie, o łaskę go prosząc. I zwyciężył swą pychę i próżność Gotfryd. Wołał na śmiech, hańbę i wżgardę raczej się podać niż czyn nierycerski popęlić. Zwyciężył samego siebie. Najpiękniejsze to jest zwycięstwo! Weź, Gotfrydzie, kwiat ten, który teraz naprawdę dopiero zdobyłeś, i daj go Roksanie, pani swojej, gdyż i jej on się słusznie za serce mężne, ufne i kochające, które cię ani na chwilę nie opuściło, należy!

Miłość



Wziął tedy Gotfryd z rąk wróżki cudowny kwiat ametystu i księżniczce Roksanie go podał.

A nie wiedział nic o tym, że pierścień, który mu dała Wiwiana, moc miał cudowną nad górami, jak to w następnej opowieści, szlachetni panowie, zobaczycie.

## TYRANA, CO TRONEM JEGO PODSTĘPNIE ZAWŁADNĄŁ, WYPĘDZI I DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE PANOWAĆ BĘDZIE...

*O księciu Gotfrydzie opowieść jedenasta*

Gdy to wszystko się działo na dworze króla Zygmunta, kraj księcia Gotfryda jęczał pod jarzmem okrutnych rządów Geralda. Książę ten dbał jeno o wspaniałe uczyty i kosztowne stroje, otaczając się takim przepychem, że nawet bogaty skarbiec królewski wydołać mu nie mógł. Wówczas obarczył on lud wielkimi daninami<sup>97</sup>, a jeśli i tych nie starczyło, napadał na wioski własnych poddanych, paląc je i grabiąc gorzej od nieprzyjaciela. Na domiar złego, nie znosząc, by ktokolwiek sprzeciwiał się jego zarządzeniom i ganił je, odsunął od siebie wszystkich prawych i szlachetnych rycerzy, otoczywszy się zgrają nędżnych służalców i pochlebców.

Żli doradcy podjudzali go do coraz większych gwałtów i coraz ostrzejszych prześladowań przeciw opornym, tak że wszyscy niemal rycerze ojca księcia Gotfryda musieli kryć się po lasach, gdyż żaden z nich nie mógł być pewny ani życia, ani mienia.

Owi doradcy również, przez nierozumne, a chępliwe jątrzenie, uwikłali go w szereg wojen z sąsiadami, wojen, które kraj cały, tak niegdyś kwitnący, do ostatecznej doprowadziły ruiny.

Z zamierającym z bólu sercem patrzył na niedolę i nędzę swego kraju pierwszy niegdyś w radzie królewskiej, a dziś tułacz bezdomny i jutra niepewny, Roland Prawy. I wreszcie w sercu jego zrodziło się niezłomne postanowienie: choćby miał przewędrować świat cały, musi prawego tronu następcę, księcia Gotfryda, odnaleźć i rządowi tyrana kres położyć! Wprawdzie bowiem król Gerald Okrutny ogłosić kazał, że bratanek jego utonął podczas przejażdżki na morzu, to jednak w sercach ludu i rycerstwa żyła wciąż nadzieja, iż ukrył się on tylko przed prześladowaniem stryja i że gdy lat męskich dojdzie, oswobodzi swój nieszczęsny lud.

Powziąwszy tedy ten śmiały i szlachetny zamiar, sędziwy rycerz opuścił potajemnie, w przebraniu barda<sup>98</sup>, granice swego kraju i począł wędrować od zamku do zamku, od kraju do kraju, pieśni o niedoli ludu swego, który czeka wybawiciela, śpiewając.

Ale daremne były jego trudy.

Daremnie przemierzał dalekie lądy, przedzierał się przez puszcze i przeprował przez rzeki.

Nigdzie nie natrafił na najmniejszy nawet ślad zaginionego księcia.

Zwątpienie zaczęło się już zakradać do duszy Rolanda. Może Gerald zamordował bratanek i próżne są wszystkie jego poszukiwania? Ale myśl o nieszczęsnym kraju, który jeno Gotfryd mógł ocalić, dodawała starcowi sił do dalszej wędrówki i Roland szedł coraz dalej i dalej. Aż zaszedł na brzeg wielkiego morza. U brzegu właśnie stał wielki statek kupiecki i kupcy zgodzili się chętnie przyjąć na pokład barda, który skróci im śpiewem i baśniami długie dni podróży.

Po drodze dowiedział się od nich Roland, że wiozą oni kosztowne kobierce, tkaniny i klejnoty dla bardzo potężnego króla, Zygmunta Wspaniałego.

— Jest to wielki i sprawiedliwy monarcha — mówili — a w państwie jego rolnicy i kupcy zażywają wiecznego pokoju, gdyż żaden nieprzyjaciół nie ważyłby się walczyć przeciw Gotfrydowi Zwycięzcy, który nie ma sobie równego między rycerzami.

— Któż to taki ów Gotfryd Zwycięzca? — zapytał zaciekawiony Roland. — Czy to syn lub krewniak królewski?

Ojczyzna

Spotkanie

<sup>97</sup>danina — obowiązkowe świadczenie uiszczane przez poddanych. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>bard — wędrowny poeta i śpiewak. [przypis autorski]

— Nie! — odparli na to kupcy. — Nikt nie zna jego rodu, albowiem król przywiózł go na swój dwór, gdy rycerz ten pacholęciem był jeszcze. Powiadają, że znalazł go gdzieś w górach między pasterzami.

Wspomniał Roland moje przepowiednie i uczuł, że serce bije mu młotem w piersiach, a niecierpliwość i nadzieja rade by użyć skrzydeł żaglom.

Toteż natychmiast po wylądowaniu udał się na dwór królewski.

A gdy przed królem i jego rycerzami swą pieśń zaśpiewał, nagle jeden z nich, połą<sup>99</sup> płaszczą swego twarz zakrywszy, zapłakał...

Rzucił Roland Prawy swą lutnię i zawołał:

— Tyś jest Gotfryd, ukochany nasz książę i pan!

A odparł mu Gotfryd:

— Tyś jest Roland Prawy, rodzica mego przyjaciel i doradca!

I rzucili się sobie w objęcia płacząc, a dwór cały i król Zygmunt Wspaniały patrzyli na to z wielkim zadziwieniem. Tedy Gotfryd opowiedział królowi wszystko i poprosił, by mu pozwolił natychmiast do kraju swego wyruszyć.

Wysłuchał go król i rzekł:

— Słuszną jest rzeczą, abys szedł tam, gdzie cię woła obowiązek. Każę zaraz przygotować sto okrętów, które zawiozą ciebie i twoją rycerską drużynę (dam ci bowiem tysiąc najmniejszych mych rycerzy) do twojej ojczyzny. Będziemy cię czekali niecierpliwie, ja i Roksana. Wracaj, jak zawsze — zwycięzcą!

— Dziękuję ci, najjaśniejszy panie — odparł mu Gotfryd — ale nie chcę wracać do kraju mego na czele obcych zastępów, jak zdobywca! I nie chcę walczyć mieczem o tron ojców moich! Oto odpasuję go i zostawiam. Jedyną bronią, którą zabieram ze sobą do ojczyzny, będą skrzypki moje!

— Panie mój! — zawołał Roland Prawy. — Cóż to za nierozsądne wyrzekłeś słowa! Czy myślisz, że pieśnią skruszysz serce tego tyrana, który setki ludzi co dzień zabija? Jeśli nie chcesz prowadzić na kraj swój obcych zastępów, to zwołaj lud swój i swoje rycerstwo. Wszyscy podążą na twe wezwanie zbrojni, jak kto może!

— Zwołam lud mój i moje rycerstwo — rzekł Gotfryd — ale każę mu iść za sobą bez broni. Jeśli się lękasz, Rolandzie Prawy, zostań tutaj i czekaj mego powrotu.

— Nie opuszczę cię, panie mój, choć wiem, że na śmierć pewną i zagładę siebie i lud swój chcesz prowadzić — odparł smutnie Roland Prawy.

A król Zygmunt i wszyscy rycerze poczęli Gotfrydowi zamiar jego, który szalony im się zdawał, odradzać.

Tylko księżniczka Roksana nie mówiła ani słowa, albowiem kochała go i wierzyła mu.

Pożegnał się więc Gotfryd z królem i księżniczką i wraz z Rolandem w daleką drogę wyruszył.

Zaledwie wieść o przybyciu księcia Gotfryda rozeszła się po kraju, poczęły się zewsząd gromadzić tłumy ludu i rycerstwa i witały go z wielką radością. A Gotfryd kazał im iść za sobą. I szli za nim nie tylko mężowie, ale i młodzieniaszkowie niedorośli, starcy, kobiety i dzieci. Że zaś głód i bieda panowały wszechwładnie w nieszczęsnym kraju, przeto twarze ich były blade, szaty zaś podarte i bardzo nędzne.

Gdy przywiodę lud ten przed oczy stryja mego — rozmyślał Gotfryd — i ukazę mu jego nędzę, wzruszy się jego twarde serce, pozna, że nie jest godny korony, i dobrowolnie się jej wyrzeknie.

Aliści nie znał on nikczemnego serca tego tyrana.

Gdy bowiem na dwór Geralda Okrutnego przyszła wieść o powrocie Gotfryda, uląkł się on bardzo, ale usłyszawszy, że Gotfryd idzie ku stolicy na czele bezbronnego tłumy nędzarzy, uspokoił się i zaraz zwoławszy swą dryżynę ozwał się w te słowa:

— Hej, szlachetni panowie! Dosiądźcie rumaków, przypaszcie miecze. Na piękną was powiodę uroczystość! Pojedziemy złożyć hołd memu bratankowi, który się królem oberwańców i głodomorów ogłosił zamierza!

Wybuchnęli śmiechem służalcy Geralda i wnet rumaków dosiedli, a Gerald pojechał na ich czele.

<sup>99</sup>poła — dolny fragment ubrania rozpinającego się z przodu. [przypis edytorski]

I właśnie Gotfryd, otoczony mnogim ludem, wszedł na drogę ku stolicy prowadzącą, która między górami a morzem wiodła, gdy zastąpił mu drogę stryj jego.

— Witaj, Gotfrydzie! — odezwał się szyderczo. — Nie wyjdiesz stąd żywy ani ty, ani buntownicy, którzy za tobą poszli! Otoczyłem was od północy i od południa, od wschodu zaś macie morze, a od zachodu góry. Wytnę was w pień, zuchwalcy! Nic was nie ocali! Chyba to morze i te góry pójdą wam na ratunek!...

Ale zaledwie wymówił te słowa, szlachetni panowie, zaledwie wymówił te słowa, stało się coś strasznego i okropnego, niesłychanego i zdumiewającego.

Oto fale morskie poczęły się z wolna podnosić, gniewnie srebrną bryzgając pianą.

Naprzód stały się groźnymi bałwanami w czas burzy, później zmieniły się w olbrzymie zwały wodne, później w zielone, straszliwe góry, których szczyty, białą lśniącą pianą, aż pod niebem się strzępiły, i wreszcie niby stado wściekłych rumaków, o rozwianych, śnieżnych grzywach, na rycerzy Geralda runęły.

Krzyk przerażenia wyrwał się z tysiąca piersi i król Gerald Okrutny wraz ze swymi rycerzami w stronę gór w bezwładnej ucieczce się rzucił.

Ale wtedy, szlachetni panowie, stało się coś jeszcze strasznego.

Oto z wolna, z wolna góry poczęły się poruszać w swych posadach i z łoskotem i chrzęstem gromów naprzeciw Geralda i jego rycerzy wyszły!

I przez morze i góry w oczach zdrętwiałego ze zgrozy ludu pokaran legł król Gerald Okrutny i cała jego drużyna.

Nie pozostało po nich nawet śladu, jak gbyby nigdy nie istnieli. Tylko po dziś dzień droga ta nosi nazwę „Drogi Śmierci”.

A stało się to za sprawą dwóch cudownych pierścieni, władzę nad morzem i górami Gotfrydowi dających, pierścieni, których moc król Gerald sam przeciw sobie obudził.

Tak więc zasiadł książę Gotfryd na tronie ojców swoich. I silniejszy nie śmiał już uciskać słabszego, a każdy mógł iść śmiało do królewskiego zamku po opiekę i pomoc.

I cały lud błogosławił Gotfryda, i nazwał go „Wybawicielem”.

A gdy już ład i sprawiedliwość zapanowały w kraju, Gotfryd, powierzwszy rząd Rolandowi Prawemu, z wielką świtą<sup>100</sup> rycerzy i panów po swą narzeczoną, księżniczkę Roksanę, na dwór króla Zygmunta wyruszył.

## NAJPIĘKNIEJSZĄ NA ZIEMI KRÓLEWNE Z NIEWOLI MOCARZĄ, CO JEDNYM UDERZENIEM OBAŁA SKAŁY, OSWOBODZI...

### *O księciu Gotfrydzie opowieść dwunasta*

Najpiękniejsze damy tańczyły z najpiękniejszymi rycerzami, truverzy królewscy stare śpiewali pieśni, a wasale Zygmunta, szlachetni książęta, grafowie i baronowie, pili zdrowie młodej pary złotym miodem w pięknych srebrnych pucharach.

A po prawej stronie siedział książę Gotfryd, a po lewej księżniczka Roksana i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, w którym mieli zamieszkać, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu.

I wtedy to właśnie usłyszano ów tętent.

Z początku było to tak, jak gdyby hufiec rycerski pędził we sto koni, a kopyta ich grzmiały po zamkowej drodze.

— To pewno przybywa jakiś gość spóźniony — rzekł król.

Ale tętent rósł i potężniał. To już nie sto, to tysiąc koni grzmiało podkowami!

— Czy to nie jakiś zdradziecki nieprzyjaciel chce napaść niespodzianie na zamek? — szepnął dowódca królewskiej straży, a rycerze odstawili puchary, powstali i słuchali w ciszy.

A tętent rósł i potężniał. To już nie tysiąc koni grzmiało podkowami — to leciało sto tysięcy dzikich rumaków! Nie! To huczały gromy, to waliły się góry, to zapadała się ziemia cała!

<sup>100</sup>świta — grupa osób towarzyszących panującemu. [przypis edytorski]

Rzucili się ku oknom król i rycerze i znieruchomili z przerażenia. Po zamkowej drodze pędził rumak tak wielki jak góra, na której wznosił się zamek. Rumak zdawał się cały jak gdyby wyciosany ze skały, oczy jego paliły się niby dwie krwawe gwiazdy, a z nozdrzy szedł ogień, spod żelaznych kopyt tryskały iskry.

Na rumaku siedział olbrzymi rycerz, od stóp do głów w czarną zbroję zakuty, a na czarnym jego szyszaku<sup>101</sup> powiewał płomienny pióropusz.

Jednym uderzeniem potężnej pięści, w żelazną rękawicę zakutej, zgruchotał czarny rycerz bramę i mur zamkowy i położył trupem stu wartujących halabardników, po czym z konia zeskoczył i zginając się wpół wszedł do sali, gdzie odbywała się uczta weselna. Jak zakłęci w kamień stali wasale i dworzanie królewscy, nie śmiejąc poruszyć się.

Jeno dwoje ludzi nie zwróciło uwagi na przybycie straszego gościa, tak jak nie zwróciło jej poprzednio na huk kopyt jego kamiennego konia: księżniczka Roksana i księżę Gotfryd siedzieli wciąż trzymając się za ręce i rozmawiali o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu...

Czarny rycerz podszedł prosto do księżniczki i zanim zdążyła krzyknąć, porwał ją na ręce, wybiegł przed zamek, skoczył na konia i zniknął.

Księżę Gotfryd stał przez chwilę nieruchomo, błąd jak płótno, po czym z dzikim okrzykiem wyrwał miecz z pochwy, zbiegł na dół, skoczył na swego rumaka i rzucił się za czarnym rycerzem.

— Gotfrydzie! Gotfrydzie! — wołali rycerze, którzy zdołali tymczasem ochłonąć z przerażenia i zrozumieć, co się właściwie stało. — Poczekaj, Gotfrydzie! Nie pędź za tym olbrzymem, bo zabije cię jednym uderzeniem. Poczekaj! Naradzimy się wspólnie, co mamy uczynić! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

Ale księżę Gotfryd już ich nie słyszał.

Bez hełmu, ze wzniesionym do góry mieczem, pędził co koń wyskoczy za czarnym rycerzem, wołając:

— Stój! Stój, nikczemny tchórze! Stój i zmierz się ze mną!

Ale czarny rycerz nie obejrzał się nawet.

Może zresztą głos Gotfryda nie dochodził do niego, bo tętent kopyt jego konia głużył wszystko. Kopyta te złobiły w ziemi tak ogromne doły, że Gotfryd z trudnością mógł je przeskakiwać, czarny rycerz oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie Gotfryd stracił go zupełnie z oczu.

I wówczas księżę Gotfryd, ten Gotfryd, którego zwano „Zwycięzcą” i „Niezlomnym”, zapłakał jak dziecko. Jego rycerskie serce nie mogło znieść myśli, że jego narzeczona, złotowłosa księżniczka Roksana, delikatna jak kwiat i jak motyl, znajduje się w rękach czarnego rozbójnika, a on, Gotfryd, nie może jej ocalić.

Ale niegodnym prawdziwego rycerza byłoby rozpaczać, gdy nie wszystko jeszcze stracone. Opanował więc Gotfryd swój ból i popędził dalej śladami kamiennego konia.

Dwa dni i dwie noce jechał Gotfryd, nie pijąc i nie jedząc, aż trzeciego dojechał do gór. I tutaj ujrzał, że ślady kamiennego rumaka znikają zupełnie, jak gdyby zapadł się on wraz ze swym jeźdźcem w ziemię. Ale Gotfryd nie tracił nadziei. Koń tak wielki mógł przecież przeskakiwać skały i ślady jego kopyt znajdują się po drugiej ich stronie. Tak pomyślawszy zsiadł z konia, wziął go za uzdę i zaczął się piąć stromą ścieżką w górę. Kamienie osuwały się spod jego nóg, głód i pragnienie dokuczały mu, ciężka zbroja, której już trzeci dzień nie zdejmował, gniotła i wpijała się w ciało. Ale nie na darmo zwano go przecież „Niezlomnym” — szedł wytrwale wciąż naprzód i naprzód.

Tymczasem zapadła wczesna noc zimowa i zadymka śnieżna zasypała wszystkie drogi w górach.

Gotfryd nie wiedział już teraz, dokąd iść dalej. Wtem usłyszał tuż obok siebie cichy jęk i ujrzał, że u jego stóp leży mała sarenka i patrzy na niego smutnie wielkimi, czarnymi oczyma.

Gotfryd pochylił się nad nią i pogłaskał jej śliczną główkę.

— Co ci jest, biedactwo? — rzekł ze współczuciem. — Jaka szkoda, że nie umiesz mówić! W każdym razie nie mogę pozwolić, abyś tu zmarła na śniegu. — I zdjąwszy swój płaszcz okrył ją.

<sup>101</sup>szyszak — hełm bojowy w kształcie stożka. [przypis edytorski]

Ale sarenka zerwała się i powiedziała wesoło:

— Mylisz się, księżę Gotfrydzie, mylisz się! Dziś jest noc Bożego Narodzenia, a w tę noc cudowną wszystkie zwierzęta mogą mówić na pamiątkę, że pan Jezus narodził się między nimi.

— Ale skądże wiesz, jak się nazywam? — zapytał zdziwiony Gotfryd.

— Ta, która mnie posłała do ciebie, powiedziała mi: „Poznasz go po tym, że jest najpiękniejszym z rycerzy”. Wielu jest pięknych rycerzy — odpowiedziałam. „Więc poznasz go po tym, że jest najmężniejszy!”. Jakże się będę mogła o tym przekonać? — zapytałam. „A więc poznasz go po tym, że choćby sam cierpiał, nie przejdzie obojętnie obok cudzego cierpienia...”. I poznałam cię. Bądź pozdrowiony, księżę Gotfrydzie!

— A któż cię do mnie przysłał? — zapytał Gotfryd.

— Twoja narzeczona, księżniczka Roksana! — odparła sarenka.

— Jak to? Więc widziałaś ją! Rozmawiałaś z nią?! Wiesz, gdzie się ona znajduje?! Możesz mnie do niej zaprowadzić?!

— Nie Gotfrydzie. Nie mogę tego uczynić. Twoją narzeczoną więzi król wichrów i ciemności, lodowców i przepaści. Każdego śmiałka, który by się porwał przeciw niemu, czeka pewna śmierć. Roksana zaklina cię, abys jej nie szukał, bo zginiesz.

— Zginę albo wyswobodzę ją! — zawołał Gotfryd dobywając miecza. — Prowadź mnie!

Sarenka wstrząsnęła główką.

— Nie mogę tego uczynić, Gotfrydzie! Ale idź za mną, zaprowadzę cię do chaty staro pustelnika. Zna on nie tylko wszystkie drogi w górach, ale i sposoby walki z królem ciemności i może dać ci niejedną dobrą radę.

— Dobrze, sarenko! — rzekł Gotfryd. — Prowadź mnie do niego, prowadź mnie prędko, bo serce moje goreje<sup>102</sup> z niecierpliwości!

Zeszli tedy razem w niewielką dolinę. W jasnym świetle księżycy ujrzał Gotfryd chatkę pustelnika.

Pustelnik, siwy jak gołąb staruszek, siedział na jej progu, wpatrując się w dal, jak gdyby oczekiwał kogoś.

— Witaj, młody rycerzu! — rzekł ujrzawszy przed sobą Gotfryda. — Dobrze, że tędy przechodzisz, gdyż jestem już taki stary, że nie mam sił narąbać sobie drzewa, a ty nie odmówisz mi pewnie tej przysługi. Topór leży w izbie.

Gotfryd śpieszył się bardzo, ale nie przystoi prawemu rycerzowi odmawiać pomocy słabszemu. Skłonił się więc w milczeniu starcowi, wziął topór i zabrał się do pracy.

— Ot, co znaczy młodość i siła! — rzekł po chwili pustelnik. — Nie zdążyłem odmówić jeszcze jednego *Ave Maria*<sup>103</sup>, a na całą zimę starczy. Wejdz do izby i rozpal ogień na kominie.

Gotfrydowi spieszyło się bardzo, ale nie przystoi prawemu rycerzowi odmawiać pomocy słabszemu. Wszedł więc Gotfryd do izby i rozpał ogień.

— A teraz — rzekł pustelnik — zejdź do piwnicy. Znajdziesz tam dzban wina i bochenek pszennego chleba. Postaw dzban na ogniu, a gdy wino się zagrzeje, przyjdź tu do mnie z chlebem i gorącym napojem.

Gotfryd gorzał cały z niecierpliwości, ale nie przystoi prawemu rycerzowi odmawiać pomocy słabszemu, spełnił przeto i to żądanie pustelnika.

— Dziękuję ci, mój synu — powiedział pustelnik. — Usiądź koło mnie i pokrzep się chlebem i winem, gdyż już trzy dni nic nie jadłeś, a ciężka czeka cię jeszcze przeprawa.

— Skąd wiesz o tym?! — zawołał zdumiony rycerz.

Pustelnik uśmiechnął się.

— Czytam w gwiazdach — odparł. — Podnieś głowę! To całe niebo, które widzisz, jest dla mnie ogromną, roztwartą księgą, w której na ciemnoszafirowych kartach znaczą się srebrnymi literami losy świata. Wiedziałem, że tu przyjdiesz, zanim jeszcze pomyślałeś o tym. Posłuchaj więc mojej rady: Czy widzisz tę lodową ścianę, która wznosi się naprzeciw nas, a której szczyt tonie aż w obłokach?

— Widzę — odparł Gotfryd.

<sup>102</sup>*goreć* a. *gorzeć* — palić się, być ogarniętym przez gwałtowne uczucie. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Ave Maria*, (łac.), (rel.) — *Zdrowaś Maryjo* a. *Pozdrowienie anielskie*; modlitwa chrześcijańska za wstawieniem Maryi. [przypis edytorski]

— Na ten szczyt musisz się wspiąć, a później skoczyć w ciemną otchłań, która ukaże się twoim oczom...

— Dobrze! — odparł Gotfryd tak spokojnie, jak gdyby pustelnik doradzał mu zejście po wysłanych kobiercami schodach do sali tanecznej. — I co dalej?

— Otóż wtedy znajdziesz się w wielkiej komnacie, której ściany będą stanowiły cztery góry, a w środku, na granitowym tronie, zobaczysz swego wroga. Będzie on starał się przerazić cię swą potęgą. Wówczas cokolwiek on uczyni, rób to samo, choćby to były rzeczy przechodzące siły ludzkie. Jeśli to będziesz czynił z wiarą w powodzenie, uda ci się na pewno, gdyż dziś jest cudowna noc Bożego Narodzenia, a tej nocy zło nie może triumfować nad dobrem.

— Dziękuję ci — rzekł powstając Gotfryd. — Dziękuję ci za gościnę i za radę. Czy pozwolisz, że zostawię tu mego konia, gdyż nie mogę wraz z nim wspiąć się po lodzie?

— Zostaw go — odparł pustelnik. — A sam ruszaj z Bogiem i wracaj zdrowo. A tę siekiere, którąś rąbał drzewo, weź ze sobą, może przyda ci się na co.

Pokłonił mu się tedy Gotfryd, raz jeszcze za wszystko podziękował i w drogę ruszył, a że szedł szparko<sup>104</sup>, więc w niedługim czasie znalazł się u stóp skały. Ale na próżno obchodził ją ze wszystkich stron, szukając najmniejszego zagłębienia, najmniejszej pochylności, po której można by się wspiąć.

Skała była stroma i gładka jak lustro. Chyba ptak się mógł na jej szczyt dostać.

Rozpacz ogarnęła Gotfryda. Czyż ma odejść stąd i pozostawić Roksanę w rękach ohydneho zbója? Czyż ma jej pozwolić umrzeć z tęsknoty za słońcem, na dnie przepaści? Nie! Nigdy! Jeśli nie może wejść po tej skale, to zwali ją!

I wyrwawszy zza pasa topór uderzył nim z całej mocy w lodową ścianę. A wówczas stało się coś dziwnego: Oto topór wyrwał mu się z rąk i począł biec w górę po skale, rąbiąc w niej stopnie.

Gotfryd podniósł oczy w niebo chcąc podziękować Bogu za cud tak widocznej opieki i ujrzał tuż nad swą głową gwiazdę płonąca tak cudownym blaskiem, że gasiła pięknnością wszystkie inne.

Pojął tedy Gotfryd w sercu swoim, że była to Gwiazda Wigilijna, i pełen radości i otuchy począł się piąć w górę.

Zaprawdę nie była to łatwa droga.

Od ściany wiało na niego lodowe zimno, ręce przymarzały mu do stopni, a każde poślizgnięcie groziło śmiercią. Ale Gotfryd miał nad głową Gwiazdę Wigilijną, a w sercu wielką miłość, nie czuł więc ani zimna, ani bólu, ani strachu.

Wreszcie stanął na szczycie, a pod stopami jego otworzyła się bezdenne przepaść. A kiedy Gotfryd spojrział w nią, pierwszy raz w swym życiu zadrżał. Panowała tu głucha cisza i ciemność. Kamień, strącony jego nogą w głąb, upadł nie wydawszy dźwięku... Owiała go woń pleśni i zgnilizny.

Gotfryd zawahał się...

Ale zaraz przypomniał sobie, że tam w tej głębi bezdennej znajdzie Roksanę, i rozpostarłszy ramiona rzucił się w otchłań.

Przez chwil kilka leciał z błyskawiczną szybkością w ciemność, ale nagle poczuł, że czyjeś potężne ramię obejmuje go w pół, powstrzymuje od upadku i stawia na ziemi.

Gotfryd znalazł się, jak mu przepowiedział pustelnik, w wielkiej sali, której ściany stanowiły cztery góry.

Pośrodku wznosił się tron z ogromnych granitowych złomów, a na nim siedział król ciemności i przepaści.

— Skąd się tu wzięłaś, ludzka mrówko, i jak śmiesz wchodzić do mego zamku?! — zapytał groźnie. A głos jego był jak ryk orkanu<sup>105</sup> i trzykrotnym echem powtórzyły go ściany.

— Przyszedłem tu, aby oswobodzić Roksanę i ukarać cię, nikczemny zbójcu, za to, żeś śmiał ją więzić! — odparł dumnie Gotfryd i sam zdziwił się potędze swego głosu, bowiem zabrzmiał on jak spizowy dzwon i sześciokrotnym echem powtórzyły go ściany.

<sup>104</sup>szparko — żwawo, szybko. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>orkan — bardzo silny wiatr; cyklon tropikalny. [przypis edytorski]

Król przepaści roześmiał się obrzydliwym rechotem, który mógłby przejąć dreszczem najodważniejszego rycerza.

— Nędzny głupcze! — zawołał. — Ty chcesz się sprzeciwić mej woli?! Roksana zostanie moją żoną, choćby opierała się temu jeszcze bardziej, niż się opiera, i choćby miała takich stu rycerzy jak ty, których potrafię jednym dmuchnięciem obalić.

I dmuchnął. A od tego dmuchnięcia zerwał się taki wichur, że podniósł Gotfryda jak piórko i rzucił nim o ziemię.

Powstał książę Gotfryd i zawołał:

— Jeśli ty masz taką siłę, to ja, który walczę o Roksanę, muszę mieć większą!

I nie zastanawiając się wcale nad tym, że olbrzym, z którym chciał walczyć, rozkazywał wszystkim huraganom, zadał, co miał siły w płucach.

Święty Boże! Co się wtedy za wichrzyisko zerwało! Nie tylko czarnego rycerza rzuciło na ziemię, ale jego granitowy tron obaliło tak, że się w drobne kawałki rozpadł!

Jeszcze nie zdążył Gotfryd ochłonąć ze zdumienia, które go na widok tego, co uczynił, ogarnęło, kiedy król przepaści podniósł się i odezwał w te słowa:

— Widzę, że jesteś silniejszy, niż myślałem, albo też pomagają ci jakieś niezbrane mi moce. Nie przypuszczaj jednak, że jesteś silniejszy ode mnie. Obacz, co potrafię uczynić!

I podeszedłszy do jednej ze ścian pchnął ją ze wszystkich sił. Góra zachwiała się w posadach i runęła ze strasznym łoskotem.

— No i cóż? — zapytał szyderczo król przepaści. — No i cóż, rycerzu Roksany, potrafiłbyś to zrobić?

Zakipiał gniew w Gotfrydzie i nie zastanawiając się wcale, czy w ludzkiej to mocy skały obalać, do drugiej ściany podeszedł i natężywszy całą siłę swych rycerskich ramion — pchnął.

Rozległ się łoskot jeszcze straszniejszy niż poprzednio i nie tylko ta ściana, ale i dwie pozostałe runęły rozpadając się w kawałki.

— Widzę — rzekł ponuro czarownik — żeś silniejszy ode mnie! Jesteś pewnie rycerzem Gwiazdy Wigilijnej i w tę noc nikt cię zmóc nie może. Uchodzę stąd, by nie polec z twej ręki, ale nie myśl, żeś odzyskał Roksanę. Rzucam na ciebie i na nią czar: Od tej chwili stajecie się dla siebie niewidzialni. Próżno będziesz szukał jej do świtu w stu komnatach mego zamku, a kiedy nadejdzie ranek i zgaśnie Gwiazda Wigilijna, wrócę tu, aby rozprawić się z tobą. Tylko że wtedy już nie będziesz mógł zwałać skał — jedynie ta noc należy do ciebie.

I powiedziawszy to czarownik zniknął, a Gotfryd został sam. Na razie nie zwrócił on uwagi na słowa króla przepaści. Dumny i szczęśliwy z pokonania wroga począł chodzić od jednej komnaty do drugiej, szukając Roksany.

Ale ciemne, ogromne i ponure sale były puste i ciche. Ostrogi jego dzwoniły o nie przykrytą kobiercem kamienną posadzkę, a sąsiednie komnaty powtarzały odgłos jego kroków głuchym echem, dziwnie przeraźliwym wśród milczenia.

Dziwne uczucie opanowało Gotfryda. Nie był to lęk, ale poczucie wrogiej samotności. Te sale były puste, a jednak za każdą z tych ogromnych, nieociosanych, granitowych kolumn, wspierających kamienne ściany, zdawało się czuć niebezpieczeństwo.

Gotfryd wyciągnął broń z pochwy i z nagim mieczem w dłoni szedł dalej, wołając:

— Roksano! Roksano!

Aż nagle usłyszał jej drżący ze szczęścia głos:

— Gotfrydzie! Czy to ty! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

— Gdzie jesteś, Roksano?! — wołał Gotfryd wbiegając do następnej sali, skąd go dochodził głos. — Roksano! Gdzie jesteś?!

— Jestem tu, Gotfrydzie! Ale gdzie ty jesteś? Słyszę cię, ale cię nie widzę! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

— Jestem tu, Roksano! Ale nie mogę dostrzec cię w mroku! Jestem tu, Roksano! Roksano!

I tak biegli to oddalając się, to zbliżając się do siebie, błakając się to w nowych salach i korytarzach, przestając się słyszeć, to znów słysząc się z bliska, niemal na odległość wyciągnięcia dłoni, a echo powtarzało ich głosy: Roksano! Gotfrydzie! Roksano! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

Ale na próżno. Urok, rzucony na nich przez króla ciemności, trwał.

Wreszcie wbiegli do sali, w której Gotfryd walczył z czarnym rycerzem. Nie było tu sklepienia, jeno gwiaździste tysiącem światel roziskrzzone niebo. Gotfryd ukląkł i podnosząc oczy tam, gdzie cudownym blaskiem lśniła Gwiazda Wigilijna, począł się modlić:

— Panie, któryś przynosił mnie dzieckiem na skrzydłach ptaków przez morze... Panie, któryś dał moc pacholęcemu ramieniu, gdy chciano zelżyć moją cześć rycerską... Panie, któryś dał mi więcej niż władzę, więcej niż sławę, więcej niż życie, któryś dał mi Roksanę — nie dozwól, by nikczemny czarownik zatriumfował nade mną...

A jeśli zawiniłem i chcesz mnie ukarać, to ukarż mnie tylko, ale ocal Roksanę!

I kiedy tak się modlił Gotfryd Zwycięzca, nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

Obejrzał się i zobaczył małą sarenkę, którą okrył swoim płaszczem, by nie zmarzła na śniegu. Sarenka przyniosła mu teraz jego płaszcz i podając go rzekła:

— Okryj się nim, Gotfrydzie. Nabrał on przez twój uczynek cudownej mocy.

Gotfryd zarzucił płaszcz na ramiona i w tej samej chwili usłyszał radosny okrzyk Roksany:

— Jesteś! Widzę cię!

I poczuł jej ręce na swojej szyi. Okrył ją tedy płaszczem i wówczas ujrzał jej złotą głowę na swoich piersiach. Porwał więc ją na ręce i co sił biec z nią począł ku chatce pustelnika.

A kiedy zgasły gwiazdy i zaświtała jutrznia<sup>106</sup> poranna, Gotfryd i Roksana byli już daleko od królestwa ciemności i przepaści.

Jechali razem białą drogą wśród białego lasu, a Gotfryd trzymał Roksanę przed sobą na siodle i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu. A las stał biały i cichy, jak panna młoda w dzień wesela. A sople lodowe błyszczwały w słońcu jak diamenty. A od śniegu zdawała się bić srebrna łuna.

Ale w głębi puszczy mieszkowało czterdziestu straszliwych zbójców, co grabili podróżnych po drogach. Tedy ich przywódca, hersztem zwany, ujrzał, jak lśni złota zbroja Gotfryda i złote włosy księżniczki Roksany pomiędzy drzewami, i zwoławszy towarzyszy rzecze:

— Zbroja tego rycerza waszym będzie łupem, a ta cudna dziewczka, którą przed sobą w siodle trzyma, moim!

Wzięli więc maczugi i toporzyska, i noże, i dzidy, i mieczyska okrutne i z dzikim krzykiem ze wszystkich stron Gotfryda opadli.

Hej! Szkoda, żeście tam nie byli, szkoda, żeście nie widzieli, jak potykał się w owej puszczy Gotfryd Zwycięzca z czterdziestoma zbójami!

Jak błyskawica spadał miecz jego na ich karki, a z maczug tylko drzazgi leciały pod jego uderzeniami!

Hej! Szkoda, żeście tam nie byli, szkoda, żeście nie widzieli, jak uciekało czterdziestu zbójów przed jednym rycerzem!

A kiedy zostali sami, zapytała Gotfryda księżniczka Roksana:

— Czy nie jesteś ranny, Gotfrydzie?

— Nie — odparł Gotfryd. — Nie jestem ranny, Roksano.

Ale mówił nieprawdę, bo pierś jego krwawiła pod złotym pancerzem, jeno nie chciał spłoszyć uśmiechu z ust ukochanej.

Jechali tedy dalej, a Gotfryd trzymał Roksanę przed sobą na siodle i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu...

A tymczasem król Zygmunt zwołał wszystkich wasali i ogłosić kazał, że kto księżniczkę Roksanę z mocy czarnego rycerza oswobodzi, ten pół królestwa otrzyma i ją samą za żonę dostanie.

Był zaś pomiędzy wasalami króla Zygmunta graf jeden, Rodrygiem zwany. Opowiadano sobie o nim, że podróżnych, co przez lasy jego przejeżdżają, napada, że dobra wdów i sierot zagrabia, że w walkach rycerskich praw się nie trzyma.

Pozywał go już nawet król na sąd razy kilka, ale Rodryg zawsze jakoś wykręcić się umiał. Otóż teraz zebrał graf Rodryg swoją dryżynę i tak powiada:

<sup>106</sup>jutrznia (daw.) — jutrenka. [przypis edytorski]



— Szukać czarnego rycerza nie pojedę, bo tylko głupi guza szuka, ale zaczaję się przy zamkowej drodze i jeśli temu szaleńcowi Gotfrydowi udało się wyswobodzić księżniczkę, odbijemy mu ją, a jego zabijemy lub wymożemy na nim rycerskie słowo, że będzie milczał. Potem królowi Roksanie przywieziemy, jako żeśmy to ją niby z niewoli srogiej wyswobodzili, i nagrodę otrzymamy, a nadto zdobędziemy sławę wielką.

Oj, nie rycerz to był ten Rodryg, ale rozbójnik prawy<sup>107</sup>!

Już się tedy Gotfrydowi i Roksanie wieże królewskiego zamku miały ukazać, kiedy ich nagle Rodryg i jego drużyna z dobytymi mieczami opadli.

Zadziwił się wielce książę Gotfryd i te rzeknie słowa:

— Grafie Rodrygu i wy, mężni rycerze! Czy szaleństwo opętało wasze zmysły, że przyjaciół od wrogów rozróżnić nie umiecie? Czy nie poznajecie waszego króla córki i mnie, przysięgo jej męża, towarzysza tylu wypraw waszych?

Tak mówił Gotfryd Zwycięzca, nie dobywając miecza, bo szlachetne jego serce nie podejrzewało zdrady.

— Nie ty — odparł mu na to Rodryg — ale ja mężem Roksany zostanę. Jeśli odasz mi ją dobrowolnie i przysięgniesz, że świadczyć będziesz przed królem, jako ja ją oswobodziłem, daruję ci życie. Jeśli tego nie uczynisz, zginiesz marnie — jest nas tu stu dwudziestu!

Pobladał z gniewu i oburzenia Gotfryd i miecz z pochwy wyrwawszy z okrzykiem: — Giń, nikiemniku! — na Rodryga się rzucił.

I byłby zbójnik ten, całego rycerstwa plama, od tego potężnego ciosu zginął, gdyby mu się od niego zręcznym uchyleniem uchronić nie udało.

Ale teraz opadła ze wszystkich stron Gotfryda drużyna hrabiowska.

Hej! Nie umie już młodź<sup>108</sup> nasza takich młynków zawrotnych, takich cięć mieczem krzyżowych, takich kopią uderzeń mistrzowskich, ale nade wszystko nie umie twardo i niezłomnie nieprzyjacielowi, nawet najliczniejszemu, czoła stawiać i raczej zginąć, niż się zhańbić!

Hej, szkoda, żeście tam nie byli, szkoda, żeście nie widzieli, jak się przeciw owej nawale książę Gotfryd bronil!

Nie minęły i trzy *Ave Maria*, a dwudziestu siedmiu rycerzy Gotfryd z siodła wysadził.

Ale Gotfryd był ranny i coraz słabiej miecz jego po zbrojach wrogów dzwonił.

Ale Gotfryd walczył sam jeden przeciw stu nieprzyjaciółom. Od tyłu go tedy zaszedłszy, z siodła ściągnęli, powrozami związali i na ziemię rzucili.

Hej, nie rycerski to był bój!

Stanął graf Rodryg nad skrepowanym przeciwnikiem i tak mu urągał:

— Gdzież się podziała twoja duma, Gotfrydzie? Gdzież się podziała twoja sława rycerska? Oto leżysz u nóg moich i życie twoje w mojej jest mocy. A zwano cię przecież „Zwycięzcą”, Gotfrydzie, a zwano cię przecież „Zwycięzcą”...

I ostrze swego miecza na piersi jego oparł.

A odrzekł mu na to Gotfryd, nie pobladałszy ani nie zmrużywszy powiek, dumnie w twarz wroga patrząc:

— Oto leżę u nóg twoich i życie moje w twojej jest mocy, a mimo to jam jest Gotfryd Zwycięzca, a ty — zbój nędzny i podły!

Zatrząśł się z wciekłości Rodryg i byłby pchnął miecz w pierś rycerza, gdyby księżniczka Roksana ramienia jego nie powstrzymała.

— Głupi zuchwalcze! — zawołała. — Czy myślisz, że jeśli zamordujesz Gotfryda, to mnie zdołasz prośbą lub groźbą zmusić do milczenia?! Zaiste, lepiej będzie dla ciebie, jeśli zwolniony Gotfryda zdasz się na jego łaskę, bo wiem, że jest on mężem wspaniałomyślnym! Gdybyś nie uczynił tego, kat odepnie ci z rozkazu króla ostrogi, kat złamie miecz twój i pod katowskim toporem spadnie twoja głowa!

Roześmiał się straszonym śmiechem Rodryg.

— Zaprawdę dobrze się stało, Roksano, żeś pokazała, iż nie gołąbką tchórzliwą jesteś, ale orlicą. Każę ci wyrwać język i powiem ojcu twemu, że to czarny rycerz tak cię okaleczył... Będziesz milczała, Roksano, przysięgam na miecz mój, będziesz milczała!

<sup>107</sup>prawy — tu: prawdziwy. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>młodź (daw.) — młodzież. [przypis edytorski]

— Mylisz się, Rodrygu, mylisz się! Ojciec mój spojrz w me oczy i w oczach mych wyczyta prawdę całą. Oczyma opowiem mu wszystko!

— Każę wypalić ci oczy, te oczy, które Gotfryd w pieśniach swych do górskich jezior porównywał, i powiem, że to czarny rycerz tak cię okaleczył. Będziesz milczała, Roksano, przysięgam na miecz mój, będziesz milczała!

— Mylisz się, Rodrygu, mylisz się! Łamać będę me ręce, szarpać będę me włosy i opowiem memu ojcu wszystko!

— Każę obciąć ci twe włosy, o których Gotfryd śpiewał, iż są jego harfy strunami, każę odrąbać twe białe dłonie, o których mówił Gotfryd, iż są jak lilii kwiaty! Będziesz milczała, Roksano, przysięgam na miecz mój, będziesz milczała!

Zadrżał tedy książę Gotfryd, gdyż czuł, że nie są to pogrożki na wiatr rzucone i że okrutnik ten zdolny jest do wszelkiej nikczemności.

— Nie zważaj na jej słowa, Rodrygu — rzekł. — Cóż znaczą słowa szalonej? A ona jest szalona z rozpaczy. Zabij mnie, ale jej nie tykaj!

— Nie — zawołała Roksana. — To mnie raczej zabij, a jego weź ze sobą na zamek i powiedz ojcu memu, że król ciemności rzucił mnie w przepaść, a Gotfryd oszalał z bólu i ledwieś go uratował. Mój ojciec nie da wówczas wiary jego słowom, a ty dostaniesz pół królestwa w nagrodę, gdyż kocha go on jak syna.

— Nie, to mnie raczej zabij, Rodrygu!

— Nie, to mnie raczej!

I kiedy się tak ze sobą spierali, które z nich ma umrzeć, rycerze Rodryga poczuli, że dzieje się z nimi coś szczególnego.

Poczuli, że coś ścisła ich za gardło, że coś pali ich pod powiekami i wilgocią napętnia oczy. I żaden z nich nie śmiał podnieść wzroku na drugiego, i każdy starał się ukryć twarz w fałdach płaszcza...

Mężowie ci, co już od lat zbójami z rycerzy się stali, poczuli nagle żal i wstyd, i łzy, że sławę swą i cześć rycerską podeptali, nikczemnikowi do zbrodni prowadzić się dając.

I nagle jeden z nich, Rudolfem zwany, z gromady się wysunąwszy, zawołał:

— Czy pozwolicie, aby zginął ten najwaleczniejszy i najznakomitszy z rycerzy i ta cudna jak jutrzienka pani?! Czy chcecie okryć się hańbą, pastwić się nad jeńcem i kobietą?!

I wtedy cała drużyna odparła jak jeden mąż:

— Zaprawdę, nie!

A że byli to ludzie twardzi i mało kiedy litość znający, więc zaraz z nich jeden dodał:

— I czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy temu nędznemu zbrodniarzowi wyrwali język i wypalili oczy, a później na przydrożnej powiesili gałęzi, bo innej śmierci niewart?

I znowu odparła, jak jeden mąż, drużyna cała:

— Zaprawdę, że byłoby lepiej.

Powiódł hrabia Rodryg oczyma po swoich ludziach, a srogie ich twarze obaczywszy, jak osinowy liść zadrżał i do ucieczki się rzucił, ale go wraz kilkadziesiąt rąk pochwyciło i przed Gotfryda, któremu właśnie więzy rozcinano, powlokło.

Padł tedy przed nim na kolana i o litość błagać go począł, nogi jego obejmując, bowiem, zaprawdę powiadam wam, że jeśli kto urąga słabym, to płaszczy się przed silnymi, a jeśli jest mężny wobec bezbronnych, to tchórzem jest wobec zbrojnych.

Spojrzał na niego z politowaniem Gotfryd i rzekł:

— Nierycerska to rzecz katowskim rzemiosłem się trudnić. Puśćcie go wolno!

Aliści ozwał się jeden:

— Jakże to może być, żeby nie ukarany odszedł?

A rzekł na to Gotfryd:

— Jakiejże chcecie dla niego jeszcze kary, kiedy już największą otrzymał?

Zdziwili się bardzo rycerze i zapytali:

— Jaką?

A odparł im Gotfryd:

— Hańbę! — i omdlał, albowiem krew upływała mu z ran.

Przypadła do niego księżniczka Roksana i głowę jego na swych kolanach położywszy pancerz mu rozpinać zaczęła.

Otoczyli ją kołem rycerze i każdy, co miał, jej podawał: ten płótno, ów wodę, inny wino.

Miłość silniejsza niż śmierć

A kiedy Gotfryd puchar wina wychylił, powróciły mu zupełnie siły.

Wsiadł tedy na konia, Roksanę przed sobą na siodle posadziwszy i rozkazawszy żołnierzom w drogę ruszać, jednego z nich jako gońca przodem wysłał.

Pędzi tedy ów goniec co koń wyskoczy do stolicy, aby króla Zygmunta o oswobodzeniu Roksany powiadomić, a czy mu z podziwu mało na wierzch nie wyjdą, takie dziwa po drodze widzi:

Słońce, jakby to maj był, a nie grudzień, grzeje, śniegi topnieją, sasanki, fiołki, kaczęce i stokrocie zakwitają po łąkach, na gałęziach drzew pąki zielenieją, ptaki z głośnym świergotem zza morza ciągną, a w przydrożnych wioskach zakwitają sady wiśniowe...

Zerwał więc ów rycerz kilka rozkwieconych gałęzi i w okna chat wioskowych nimi pukając wołał:

— Książę Gotfryd i księżniczka Roksana wracają! Książę Gotfryd i księżniczka Roksana wracają!

Zrywał się kto żyw i kwiecie wiosenne po drodze zrywając na spotkanie Roksany i Gotfryda biegł.

Jechali tedy Gotfryd i Roksana po usłanej kwiatami drodze, wśród radosnych okrzyków ludu.

A nad nimi leciały rozśpiewane ptaki.

A przed nimi leciały dzieci z pękami rozkwitłych gałęzi wiśni i jabłoni w ręku.

A Gotfryd trzymał przed sobą na siodle Roksanę i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli, o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu...

Kiedy zaś wjechali do stolicy, zażyły na ich powitanie dzwony wszystkich kościołów i uderzono w tysiąc moździerzy, i z wszystkich okien wionęły ku nim setki kolorowych flag, i rycerze w złotych zbrojach kłaniali im się mieczami...

Tego samego wieczora odbyła się na zamku wielka uczta. Najpiękniejsze damy tańczyły z najpiękniejszymi rycerzami, truwerzy królewscy śpiewali stare pieśni, a wasale Zygmunta, szlachetni książęta, grafowie i baronowie, pili zdrowie młodej pary złotym miodem w srebrnych pucharach.

A książę Gotfryd i księżniczka Roksana?

Książę Gotfryd i księżniczka Roksana chodzili po swoim zaczarowanym ogrodzie, w którym kwitły purpurowe jak krew róże i liliowe orchidee, i patrzyli, jak tysiące motyli, tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu.

Wesele, Miłość spełniona

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gorska-o-ksieciu-gotfrydzie/>

Tekst opracowany na podstawie: Halina Górka, *O księciu Gotfrydzie, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej*, wyd. VOTUM, Warszawa 1992.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Angelika Kuch, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6363-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).